Nr. 3. Poznań, Niedziela 20-go Stycznia 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.****; na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.****, w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Od Redakcyi.

Wydając niniejszy numer, poświęcony sprawom naszych emigrantów, wywiązujemy się z obietnicy danej w ubiegłym kwartale. Zapowiadamy równocześnie, że numer tej samej sprawie poświęcony wydamy w przyszłym kwartale i prosimy o dalsze nadsyłanie materyału. Przedruk artykułów z niniejszego numeru dozwolony tylko za podaniem źródła.

Nadmieniamy, że przygotowujemy numer specyalny, poświęcony poetom i pisarzom polskim, oraz numer, na który złożą się wyłącznie prace i artykuły naszych czytelników, bez udziału Redakcyi.

Do naszych wychodźców.

Potrzebujecie tego, aby kraj rodzinny o was pamiętał, wy, biedni, pozbawieni opieki duchownej, łaknący słowa Bożego w języku ojczystym, skazani na powolną germanizacyę i na walkę z przeciwnościami — wśród obcych.

Rok w rok tysiące idą na Zachód, jak w czeluście jakiegoś piekła, skąd czasem tylko jakiś jęk bolesny, lub płacz rozżalonych dzieci polskiej Ojczyzny dolatuje do naszych uszów.

Biedniście wy — wy, wszyscy, których los rzucił hen daleko od swoich, abyście mocowali się z życiem i o chleb walczyli.

Biedniście wy, ale biedne i społeczeństwo, które was wydaje, a nie może wam zapewnić warunków pracy.

A co gorsza, kraj wasz ma dla was zwykle tylko wyrzuty: dlaczego opuszczacie progi ojczyste, pozostawiając próżnię po sobie w pracy na polu i przy gospodarstwie, — próżnię, której niema kto zapełnić.

I te głosy żalu do was, wyrzuty z powodu waszego wychodźtwa są zazwyczaj jedynym głosem, który dolatuje do was ze stron rodzinnych.

A jednak wy zawsze z jednaką miłością synowską, wierną i oddaną, spoglądacie w stronę kraju rodzinnego, — nie z bólem lub wyrzutem, że was kraj zatrzymać nie mógł, czy nie umiał, lecz z tęsknotą i rozrzewnieniem.

I daj wam Bóg, wam wszystkim, którzy tęsknicie, abyście zostali „cudem powróceni na Ojczyzny łono“ i znaleźli tam wszystko, czego wasze serca pragną i spodziewają się dzisiaj.

Jeśli to pociechą nazwać można, to niechajże pociechą będzie wam, że nietylko wy, ale i my tu w kraju tęsknimy. Jeśli was tam w oddali porównać można z waszą tęsknotą do dążących do ziemi obiecanej plemion, to wiedzcie, że i my, choć w kraju zamieszkali, za tą naszą nieśmiertelną Ojczyzną tęsknimy, jak za ziemią obiecaną.

Oto minęło sto lat z górą, pokolenie za pokoleniem kładzie się do grobu, a my idziemy, jak ten naród, który Pan prowadził przez puszczę do ziemi obiecanej — i do tej ziemi obiecanej, do Ojczyzny naszej, Polski, jednej i niepodzielnej, dojść nie możemy.

I łzawią się oczy, a tęsknota tumanem opada na serce. Kiedy my dojdziemy do tej ziemi obiecanej? Kiedy wy dojdziecie? Czy dzieci nasze dojdą? Płacz tęskny jest nam chyba jedyną odpowiedzią, a usta szepczą modlitwę:

„Wiecznież jak pomnik Twojego gniewu sterczy ku Niebu błagalna dłoń“.....

A jednak jeśli wy, Bracia, na wychodźtwie, nie załamujecie rąk i nie oddajecie się zniechęceniu, lecz pracujecie dla zachowania narodowości i wiary ojców, to tembardziej i my, w kraju, wierzymy i walczymy o lepszą przyszłość dla naszego narodu, aby kiedyś was i nas przytuliła do swego łona nie macocha, ale matka — Polska nieśmiertelna.

Z żywem uznaniem dla działalności waszej na obczyźnie dowiadujemy się, że mnożą się towarzystwa, że wzrasta w nich duch polski, że budzą one obojętnych, pracują dla oświaty, pamiętają o potrzebach kraju i swym wdowim groszem wspierają nieraz nawet kraj ojczysty.

Na dalszych kartach tego numeru „Pracy“ znajdziemy wszyscy szereg wiadomości z bliższych i dalszych stron wychodźtwa. A wiadomości te, określające stan rzeczy obecny, pozwalają zarazem na sformułowanie wyraźnego zarysu potrzeb

bliższych i dalszych, do zaspokojenia których powinno dążyć nasze wychodźtwo.

Aby wśród naszego wychodźtwa działo się lepiej, potrzeba przedewszystkiem staranniejszego wychowania narodowego w kraju.

Nasz emigrant, wychodząc na obczyznę, powinien być już narodowo uświadomiony i rozbudzony, aby dostając się do kolonii polskiej jako młody człowiek w wieku lat 20—25 już sam potrafił pracować nad osiadłymi tam dawniej emigrantami. Dotychczas zazwyczaj działo się wręcz odwrotnie.

Jest to więc obowiązek kraju — obowiązek, o którym przypominać nie będziemy.

Ale spoglądając na liczny zastęp istniejących towarzystw polskich, a obok tego na tyle niezaspokojonych potrzeb wychodźtwa, widzimy potrzebę ujęcia w pewną systematyczną formę tych wszystkich rozstrzelonych usiłowań: formą tą byłby *Narodowy Związek Towarzystw polskich w Niemczech.*

Tylko przez urzeczywistnienie tego projektu dałoby system jakiś wprowadzić w usiłowaniach na polu

1) uzyskania lepszej opieki duchownej,

2) zwoływania wieców,

3) urządzania i zaopatrywania bibliotek polskich,

4 szerzenia elementarzy polskich oraz śpiewników.

Wreszcie jedną jeszcze gwałtowną potrzebę możnaby usunąć przez celową organizacyę: potrzebę „odczytów i referatów na wiecach“.

Jedynie projektowany związek, jako reprezentacya wszystkich towarzystw mógłby znaleść i wydelegować wędrownego mówcę, któryby się tylko trudnił wygłaszaniem odczytów i mów, zwoływaniem wieców w okolicach, gdzie niema towarzystw, oraz zakładaniem towarzystw, gdzie ich potrzeba.

Ten projekt rzucamy dziś. We właściwym czasie zajmiemy się urzeczywistnieniem tej myśli.

Vester.

Rozwój i charakter towarzystw polskich na obczyźnie.

Początki osadnictwa polskiego w Westfalii nie sięgają odległych czasów. Około 1875 roku jeszcze nie było miejscowości zaludnionych tak obficie Polakami, aby się okazała potrzeba i możność zawiązywania towarzystw. Wychodźcy nie przybywali partyami, lecz pojedyńczo, a, rozstrzeleni na znacznej przestrzeni, niezmiernie łatwo się wynaradawiali. Małżeństwa z Niemkami były na porządku dziennym.

Jako jedno z pierwszych powstało wreszcie w Dortmundzie towarzystwo „Jedność.“ Było to w r. 1876. Później w Bochum założono towarzystwo katolicko-polskie pod opieką św. Barbary.

Powoli zaczęły się zawiązywać tu i owdzie, towarzystwa, w miarę napływu coraz to nowych wychodźców z kraju.

Od roku 1890 zaczęła napływać ze zdwojoną siłą fala wychodźców. Znajdowali oni zatrudnienie przeważnie w górnictwie.

Rok 1890 stanowi epokę w dziejach wychodźtwa polskiego w Westfalii, w owym bowiem roku powstało pismo polskie p. t. „*Wiarus polski.*“ Stało się ono nietylko organem informującym o życiu emigracyi, ale także czynny biorącym udział w jej narodowym rozwoju. Zachęcając do zawiązywania towarzystw, udzielając rad i wskazówek, „Wiarus polski“ w Bochum przyczynił się niemało do utrzymania narodowości w wychodźcach; niemniej sama ich coraz wzrastająca liczba musiała się przyczynić do utrzymania pierwiastków narodowości, wyniesionych z kraju rodzinnego.

Obecnie nie ulega wątpliwości, że wychodźcy polscy w Westfalii, pomimo stosunkowo niższego poziomu oświaty, nie wynaradawiają się tak szybko, jak rozsiani w wielkich miastach niemieckich. Przyczyną tego jest większa gęstość zaludnienia polskiego, większa zbitość kolonii. W okręgu np. Dortmundzkim w samem górnictwie pracuje do 15 tysięcy Polaków.

Obecnie pod względem narodowym podzielić można wychodźtwo polskie w Westfalii na dwie nierówne części: jedną, która składa się z ludzi zupełnie zobojętniałych dla swego polskiego pochodzenia i społeczeństwa, a których tylko naturalna „inercya“ powstrzymuje od zupełnego zgermanizowania; drugą, która się składa ze zorganizowanych w towarzystwa wychodźców.

I te towarzystwa w wyjątkowych wypadkach są istotnie wynikiem samowiednych dążeń do utrzymania narodowości zapomocą łączenia się, odczytów, wspólnego abonowania gazet i t. d. W większości wypadków towarzystwa te należą albo do typu religijnych stowarzyszeń, albo do typu związków, jedynie towarzyskie cele mających na oku. Na posiedzeniach niema odczytów, niema dyskusyi, nawet artykułów z gazet albo z książek nie odczytują: członkowie schodzą się na pogawędkę przy cygarze i piwie, zapłacą miesięczną swą składkę, pogwarzą o tem i owem, urzędowe zaś rozprawy obracają się około zabawy, jaką należałoby urządzić z okazyi rocznicy założenia towarzystwa, około projektu urządzenia wspólnego święconego, lub wspólnej gwiazdki, wystąpienia z chorągwią na uroczystem przyjęciu przejeżdżającego biskupa, lub wzięcia udziału w jakim patryotyczno-niemieckim obchodzie.

Na tych pogadankach, noszących miano posiedzeń, zwykle „funduje“ piwo towarzystwo, jako takie, dla swych członków.

Jedyną korzyścią realną istnienia tych towarzystw są zawiązujące się coraz częściej pod ich egidą *kasy wsparcia dla chorych członków.*

Prawie we wszystkich towarzystwach istnieją takie kasy. Wypłacają one podczas choroby swym członkom po 50 fen. dziennie. Jest to kwota bardzo mała, zważyć jednak trzeba, że wsparcia tego

udzielają niezależnie od rządowych i zawodowych („knapszaftowych“) kas wsparcia. Charakterystycznym szczegółem w ustroju towarzystw polskich na obczyźnie jest strona dekoracyjno-zewnętrzna, obrzędowa, jeśli się wolno tak wyrazić.

Każde towarzystwo ma swoją chorągiew („sztandar“ jak najchętniej ją nazywają). Na chorągwi zazwyczaj jest wyhaftowany obraz świętego, pod opieką którego znajduje się towarzystwo, a więc św. Kazimierza królewicza, św. Stanisława Biskupa, św. Wojciecha i innych patronów polskich. Towarzystwa upatrują specyalny zaszczyt w tem, aby chorągiew była jaknajcenniejsza i aby była sprowadzona z kraju t. j. z Poznania, lub przynajmniej, aby była wyhaftowana rękami Polek.

Do niesienia chorągwi, z którą towarzystwo występuje na wszystkich ważniejszych uroczystościach, przeznaczeni są specyalni „dostojnicy“, którzy do tej ceremonii używają na ten cel przysposobionych różnokolorowych (zwykle czerwono-białych) szarf, pałaszów z kokardami (właściwie rapierów) i czapek.

Każde towarzystwo lwią część swego majątku poświęca na sprawienie chorągwi ze swym patronem i napisem polskim, choć najczęściej niema na gazety i książki lub zapomogi dla członków. Fakty, że towarzystwa, posiadające chorągiew wartości 400—500 mk., odwołują się do ofiarności publicznej, aby zebrać trochę książek, lub, że posiadają w bibliotece — 25 książek, należą do najzwyklejszych.

Ubolewania godną rzeczą jest niezwykła opieszałość w nabywaniu książek lub abonowaniu polskich gazet. Bardzo wiele jest takich towarzystw, które kontentują się jedynie małą biblioteczką nadesłaną przez Towarzystwo Czytelni Ludowych z Poznania, a nie myślą o zakupywaniu choćby najmniejszych ilości książek.

Lecz wszystkie te słabe strony, jeśli je się oświetli z właściwego punktu widzenia, są bezwątpienia tylko jednym z koniecznych wyników ustroju i rozwoju towarzystw i w dalszym ich rozwoju usunięte łatwo być mogą i zapewne będą.

W najogólniejszych zarysach biorąc, przedstawia nam się tworzenie się towarzystw polskich na obczyźnie w następujący sposób: większość wychodźców w chwili, gdy stają po raz pierwszy na obcej ziemi, znajduje się na takim stopniu oświaty, że właściwie nie pojmuje różnicy pomiędzy narodowością a wyznaniem, i nie posiada świadomości narodowej, a tem mniej zrozumienia potrzeby zakładania towarzystw na podstawach czysto narodowych. Miejscem, gdzie się wychodźcy spotykają, i które wytwarza pewną łączność między nimi, jest oczywiście kościół katolicki. I gdyby nawet nigdy niczem się nie wyodrębniali od ogółu niemieckiego, wyodrębniają się oni w kościele — zamiłowaniem pieśni kościelnych polskich, których się nauczyli i z któremi wyrośli w kraju. Chłop polski, choćby nigdy nie zastanawiał się nad tem, co to jest jego narodowość, choćby nigdy nie widział gazety polskiej i nie słyszał o istnieniu towarzystw, gdy w kościele na obczyźnie ujrzy kilkunastu „swojaków“ odrazu usta składa do pieśni nabożnych-polskich.

I ta pieśń polska kościelna — to polskie: *„Boże w dobroci nigdy nieprzebrany“*, *„Kto się w opiekę“*, *„Do ciebie Panie“*, *„Serdeczna Matko“*, *„Przed Twoje oczy, Panie“* i wiele innych — towarzyszą prostemu wychodźcy na obczyznę, łączą go z rodakami, wyodrębniają od Niemców i wytwarzają wreszcie pierwszy zawiązek towarzystw. Nie ulega wątpliwości, że pierwsze towarzystwa polskie na obczyźnie powstały na gruncie czysto religijnych dążności i były stowarzyszeniami o charakterze wyłącznie religijnym. Chłop polski, którego duszy potrzebą jest pieśń nabożna polska, a który potrzeby tej zaspokoić w obcych kościołach nie mógł, dążył do łączenia się z równymi sobie wychodźcami *w celu pielęgnowania śpiewu polskich pieśni nabożnych, w celu odczytywania ewangelii niedzielnych i w celu odmawiania litanii.* Po dziś dzień istnieją towarzystwa, których porządkiem dziennym posiedzeń jest odczytywanie żywotów św. Pańskich i odmawianie litanii, śpiewanie wreszcie pieśni nabożnych.

Z tego otóż pierwotnego typu dalszego rozwoju wytwarzać się począł typ towarzystwa, wprawdzie katolickiego, ale mającego już charakter narodowy. Odczyty treści historycznej z pism polskich zaczęły się pojawiać na posiedzeniach, a powoli i inne świeckie tematy doczekały się uwzględnienia. Zaczęły się tworzyć biblioteki, zaabonowano pisma polskie — a po jakimś czasie towarzystwo obiema nogami stanęło na gruncie narodowym.

Większość towarzystw polskich na obczyźnie wyszła już z tego pierwszego typu, nie doszła zaś jeszcze zupełnie do drugiego, znajduje się w fazie przejściowej. Ale nie ulega wątpliwości, że przekształcanie to dokona się z pożytkiem dla obudzenia poczucia narodowego wśród naszych wychodźców.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Kolonie polskie w Niemczech.

Kolonie polskie w Niemczech są produktem przeważnie ostatnich dziesięcioleci dziewiętnastego stulecia, w każdym zaś razie początki ich nie sięgają pierwszej połowy minionego wieku. Spis ludności, uskuteczniony w 1861 roku nie wykazuje np. w Westfalii ani jednego Polaka, prowincye nadreńskie i Brandenburgia (z Berlinem) podług tejże statystyki liczyły po 16 Polaków.

Są to cyfry naturalnie niezgodne z istotnym stanem rzeczy, dowodzą one jednak, że w żadnej miejscowości w wymienionych powyżej prowincyach nie istniały zarobkujące osady polskie w tych rozmiarach,

aby wydawały się godne wyszczególnienia.

Zły stan rolnictwa w prowincyach polskich, nieznośne warunki polityczne, natomiast względna swoboda, a przedewszystkiem wysokie ceny pracy w okręgach przemysłowych w głębi Niemiec jak niemniej wzrastająca potrzeba robotników w niemieckiem rolnictwie — te oto przyczyny wywołały masowe wychodźtwo Polaków z Poznańskiego, z Prus Zachodnich i Wschodnich na Zachód.

Około 1865 roku landraci pruscy w urzędowych opisach powiatów: Gnieźnieńskiego, Wyrzyskiego, Inowrocławskiego i innych, nie zauważyli jeszcze emigracyjnych skłonności wśród miejscowej ludności. Jedynie żydzi emigrowali do Ameryki.

Tymczasem wkrótce potem, bo już w roku 1872-im, obwody Bydgoski i Kwidzyński pod względem wychodźtwa stanęły na pierwszem miejscu w całych Prusach. Od roku 1872—7 wyemigrowało z Prus Wschodn. i Zachodn.: 44·681, z Poznańskiego 21·525, ze Śląska 12·146.

Z biegiem czasu cyfry te znacznie się podniosły.

Główny żywioł, z pomiędzy którego rekrutują się wychodźcy, stanowią przeważnie robotnicy wiejscy, komornicy i chałupnicy. Chłop na gospodarstwie osiadły, rzadko opuszcza strony rodzinne. Emigrujący zabierają ze sobą zazwyczaj 100 do 200 mrk. Są to pieniądze zaoszczędzone; spostrzeżono, że emigruje przeważnie chłop inteligentny, pracowity, trzeźwy i oszczędny.

Emigracyę z prowincyi polskich do Prus można przyczynowo powiązać z szybkim wzrostem miast pruskich, w pierwszej zaś linii z wzrostem Berlina.

Potężny wzrost Berlina po wojnie francuzkiej uczynił główny punkt atrakcyjny z przeradzającej się na stolicę zjednoczonych Niemiec stolicy Prus. Już w roku 1875 widzimy w Berlinie około 35 tys. mieszkańców, którzy wyemigrowali z prowincyi polskich.*) Nie są to bezwątpienia Polacy, jakkolwiek statystycy niemieccy za takich ich chcą uznawać. Zapewne przynajmniej trzecią część należy uważać za Niemców pochodzenia polskiego i Niemców rodowitych, którzy wyemigrowali z prowincyi polskich.

*) A mianowicie 5,622 (z Prus Zach. i Wsch.) 18,748 (z Poznańskiego) 6,984 ze Śląska i około $3^1/_2$ tys. z Królestwa. Nadto z Austryi. *Arthur Dix. Das Slaventhum in Preussen.*

Na pierwotne te objawy silnego ciążenia ludności polskiej w kierunku zachodnim składała się, jak się zdaje, przeważnie robotnicza ludność, wcale wówczas nie odporna wobec germanizacyi. Wnosić to wolno z tego, iż dziś — po upływie ćwierci wieku — ze świecą by trzeba szukać wśród kolonii polskiej w Berlinie Polaka, który się osiedlił w r. 1875, jakkolwiek większość członków ówczesnej kolonii polskiej powinnaby się znajdować w pełni męzkiego wieku.

Widocznie te tysiące, naliczone przez statystyków ówczesnych, już dawno wsiąkły bez śladu w obce społeczeństwo, nieznaczna część zaś, ci mianowicie, którzy zdołali się dorobić czegoś, nie tracąc przytem swej narodowości, — dawno już powróciła do kraju.

Pomiędzy 1875 a 1880 rokiem wychodźtwo z prowincyi polskich do Berlina szybko wzrastało. Spis ludności z 1880 roku wykazuje w Berlinie 164,5 tysięcy mieszkańców, przybyłych z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

Równocześnie fale ruchu emigracyjnego zaczynają wyrzucać tysiące wychodźców w dalekiej Westfalii i w prowincyach nadreńskich (wzrost przemysłu górniczego) w Hanowerze i Hessyi (brak robotników rolnych).*)

Następny spis ludności (w roku 1885) w pełni wykazał doniosłość tego ruchu na Zachód. W samym Berlinie okazało się 244·500 mieszkańców, przybyłych z czterech prowincyi wschodnich monarchii pruskiej. Conajmniej połowy tych emigrantów dostarczyła ludność polska. Obok tego poddanych rosyjskich (przeważnie Polaków z Królestwa oraz Niemców z nadbałtyckich prowincyi) naliczono w samym Berlinie do 41 tysięcy.

Od tego czasu liczba emigrantów polskich w Niemczech stale wzrasta. W roku 1890 wykazuje spis urzędowy, sporządzony z wyraźną tendencyą zmniejszania istotnych liczb ludności polskiej, przeszło sto pięć tysięcy Polaków, a mianowicie:

W prowincyi brandenburskiej (z Berlinem)	29.199
„ saskiej	22.506
„ szlezwig-holszt.	4.243
„ hanowerskiej	5.813
„ westfalskiej	25.536
„ nadreńskiej	6.103
„ pomorskiej	10.488

*) W Westfalii — 18 tys. w prow. nadreńskich — 18 tys. w Hanowerskiem — $11^1/_2$ tys. w Hessyi — 5 tys. *A. Dix.*

Jeden z wiecowników polskich w Bottropie (Westf.) w r. 1894 twierdził, że w parafii Bottrop mieszka około $4^1/_2$ tys. Polaków.

Tenże spis ludności z r. 1890 wykazuje, że najwięcej Polaków przebywało w poniższych kilku okręgach rejencyjnych:

Berlin i Poczdam	23.959
Frankfurt n. Odrą	5.240
Merseburg	10.842
Monaster	5.709
Szlezwig	4.243
Arnsberg	19.480
Dysseldorf	4.835

Liczba osiadłych w poszczególnych okręgach Polaków szybko wzrastała z roku na rok.

Ponieważ dla niektórych miejscowości posiadamy z urzędowych źródeł pruskich zaczerpnięty materyał statystyczny, wykazujący liczbę osiadłych Polaków w procentach do ludności tubylczej za rok 1890, możemy na podstawie spisu ludności z 1895 r. oznaczyć przypuszczalną liczbą Polaków, przebywających w danych miejscowościach. Za podstawę przyjmujemy przytem, że wzrost liczby ludności polskiej skutkiem dopływu nowych wychodźców równoważył się z naturalnym przyrostem ludności niemieckiej (chociaż faktycznie dopływ ludności polskiej był stosunkowo większy od naturalnego przyrostu ludności).

Otrzymamy otóż następujące cyfry:

Okręg (Bezirk)

„ Gelsenkirchen	30.000 Pol.
„ Recklinghausen	28.000 „
„ Bochum	16.776 „
„ Dortmund	4.790 „

Dla niektórych miast niemieckich liczby te — (zaznaczyliśmy już, że tendencyjnie zmiejszona jest istotna liczba ludności) — przedstawiają się jak następuje:

Berlin	15.093
Wrocław	7.460
Charlottenburg	2.376
Magdeburg	2.140
Bochum	1.502
Szczecin	1.400
Szpandawa	935
Hala	928
Dortmund	888
Zgorzelice	770
Frankfurt n.O.	600
Brandenburg	588
Stralsund	540
Aschersleben	528

Aby dać próbkę tego, jak przesadnie zmniejszone umyślnie są te liczby, nadmienimy, że według obli-

czeń miejscowych Polaków, liczba ich wynosi:

W Magdeburgu 4 tys.
Bochum 3 tys.
Dortmund 2.500

Najliczniejsze kolonie polskie posiadają miasta: Berlin z Charlottenburgiem, Wrocław, Magdeburg, Szczecin, Drezno, Lipsk, Hamburg, Brema, Kilonia.

A w Nadrenii i Westfalii: Bruch, Bitterfeld, Bochum, Bottrop, Blumenthal, Dellwig i Borbeck, Essen, Elberfeld, Gelsenkirchen, Wattenscheid i Wanne.

Z poszczególnych tych miejscowości znajdą czytelnicy szczegółowe korespondencye poniżej.

K. R.

Jak zakładać
Towarzystwa Polskie na obczyźnie?

Towarzystwa polskie wszędzie należy zakładać, choćby napozór mała liczba rodaków była na miejscu.

Są przecież towarzystwa, dziś liczące po 100 i więcej członków, które w chwili założenia miały ich zaledwie pięciu t. j. prezesa, kasyera, sekretarza i dwóch członków.

Podług prawa każdy może założyć towarzystwo, kto ukończył 21 lat.

Założyć towarzystwo należy w ten sposób. Należy, po uprzedniem prywatnem porozumieniu się ze znajomymi, zwołać zgromadzenie w celu założenia towarzystwa, oznaczywszy dzień, godzinę i lokal, a uwiadomienie o tem posłać do policyi.

Uwiadomienie tak się pisze:

An die Königl. Polizeiverwaltung in . . . .

Hiermit zeige ich an, dass am . . . (wymienić dzień) Abends . . . . . Uhr im Lokale (adres dokładny, gdzie będzie zgromadzenie) eine polnische Versammlung stattfinden wird.

Ich ersuche um gefl. Bescheinigung der erfolgten Anmeldung.

(podpis i adres)

Policya niema prawa odmówić lub przeszkodzić zebraniu, należy ją tylko trzy dni przed zebraniem uwiadomić. Na zebraniu tem powinien zwołujący zapytać obecnych, czy chcą mieć towarzystwo, a następnie przedłożyć i poddać pod głosowanie projekt ustaw, oraz nazwę.

Nazwy powinny wszędzie towarzystwa wybierać sobie takie, aby odrazu w tytule zaznaczony był polski charakter towarzystwa. A więc: *towarzystwo kupców polskich, towarzystwo polskich robotników, albo polskie towarzystwo: „Biały orzeł“, polskie towarzystwo oświaty narodowej* i t. p.

Projekt ustaw na innem podajemy miejscu.

Skoro już ustawy przyjęte zostały przez zgromadzenie, należy wybrać zarząd towarzystwa i zapisać do książki członków, wraz z adresem każdego. Najpóźniej we trzy dni po założeniu, należy zameldować nowe towarzystwo policyi w formie następującej:

Der Löbl. Polizeiverwaltung zeige ich hiermit an, dass am Orte am . . . (data) ein polnischer Verein „Towarzystwo polskie: Orzeł“ gegründet wurde. Die Statuten des Vereins, sowie Mitglieder-Verzeichniss liegen bei. Vereinsversammlungen finden im Lokale (adres) am . . . (kiedy) statt.

Policya *musi* zameldowanie to przyjąć i wystawić poświadczenie. Pozwolenia żadnego policya nie ma prawa dawać albo nie dawać, bo prawo stowarzyszania się jest prawem każdego obywatela. Poświadczenie zameldowania powinien przewodniczący mieć przy sobie na każdem zebraniu. Policyi wolno przysłać na każde posiedzenie swych dwóch delegatów w hełmach, lub po cywilnemu. (Gdyby było trzech, to jednego można wyprosić z sali).

Równocześnie z zawiadomieniem policyi, należy o utworzeniu się polskiego towarzystwa zawiadomić pisma polskie, aby ogłosiły tę wiadomość, oraz Zarząd czytelni ludowych w Poznaniu, aby przysłał trochę książek do biblioteki na początek.

Obowiązkiem każdego towarzystwa jest *nie zabawa, lecz praca nad utrzymaniem narodowości.* A zatem towarzystwo nowe powinno *przedewszystkiem* kupić trochę książek do biblioteki i zaprenumerować kilka pism polskich. Zarówno *Praca* jak i inne pisma podają artykuły, które należy odczytywać na posiedzeniach. Po odczycie powinna być dyskusya. Raz w miesiącu może być zabawa. Posiedzenia powinny się odbywać co tydzień w sobotę lub w niedzielę wieczorem. Po pierwszym i każdym następnym roku istnienia towarzystwa zarząd powinien przesyłać sprawozdania do pism polskich, aby społeczeństwo polskie też wiedziało jak się zasługuje towarzystwo rodakom na obczyźnie.

W sprawozdaniu należy wymienić: ilu jest członków, ile pieniędzy wydano na książki i gazety, a ile na zapomogi dla członków.

Społeczeństwo ma prawo wiedzieć jak postępuje praca towarzystw na obczyźnie, a towarzystwa chluby powinny w tem szukać, aby się mogły pochwalić jak największą liczbą członków i książek polskich.

Prawnik.

Polacy w okręgu przemysłowym nadreńsko-westfalskim.

Pod powyższym tytułem („*Die Polen im Rheinisch-Westfälischen Steinkohlen-Bezirke*“) ukazała się niedawno temu ciekawa książka, wydana przez związek wszechniemiecki, hołdujący jak wiadomo, hakatystycznym tendencyom.

Pominąwszy polemiczną antypolską stronę tej książki, przyznać trzeba, że książka ta jest bardzo ciekawym i rzeczowym przyczynkiem do historyi wychodźtwa naszego w Niemczech, zasługuje zaś ona na obszerniejszy referat zwłaszcza z powodu dat statystycznych, ogłoszonych po raz pierwszy.

Ponieważ sprawą wychodźców naszych w Westfalii zajmowaliśmy się już i zajmować będziemy w formie oryginalnych korespondencyi, tu zatem ograniczymy sprawozdanie nasze do wykazania na podstawie książki, jaką jest liczba górników Polaków, zatrudnionych w kręgu górniczym dortmundzkim.

Urząd górniczy sporządzał statystykę w r. 1893 i 1897. Porównanie liczb dotyczących Polaków, w obydwóch tych latach, oczywiście dostarczyłoby materyału do ciekawych spostrzeżeń, gdyby nie to, że statystyka z r. 1893 a z r. 1897, o ile mianowicie dotyczyła Polaków, nie była sporządzona według jednolitych szematów.

W r. 1893 spisano górników, *których językiem ojczystym był język polski*, w r. 1897 spisano zaś takich *poddanych niemieckich, którzy władali polskim językiem.*

Jest to wielka różnica. Popierwsze do statystyki z r 1893 wliczono w ten sposób i wychodźców z Królestwa lub Galicyi, których liczby z r. 1897 nie uwzględniają

Powtóre liczbę Polaków zapewne tendencyjnie zmniejszono, uważając za Niemców tych, którzy dobrze mówili po niemiecku.

Przy porównywaniu tych liczb należy te okoliczności uwzględnić.

Okręg górniczy.	1893 Górnicy z językiem polkim ojczystym.	1897 Górnicy, poddani niemieccy, mówiący po polsku.
Recklinghausen	2616	5054
Ost-Dortmund	279	905
West-Dortmund	772	2256
Süd-Dortmund	190	447
Witten	675	1060
Hattingen	202	407
do przeniesienia	4,734	10,129

Okręg górniczy.	1893 Górnicy z językiem polskim ojczystym.	1897 Górnicy, poddani niemieccy, mówiący po polsku.
Z przeniesienia	4734	10129
Süd-Bochum	1008	2158
Nord-Bochum	649	1719
Herne	2589	5113
Gelsenkirchen	3767	5963
Wattenscheid	1669	3179
Ost Essen	1202	1783
West-Essen	1731	3168
Süd Essen	87	172
Werden	21	18
Oberhausen	462	959
Ogółem	17919	34361

Jak widzimy, liczba prawie się podwoiła. Nie świadczy to jednak, żeby w ciągu tych czterech lat istotnie podwoiła się liczba górników Polaków. Liczba z r. 1893 wydaje się nam tendencyjnie za nizką dla powyżej przytoczonych powodów, podczas gdy liczba z r. 97 zbliża się do prawdy. Wiemy nadto, że z Królestwa pracowało we wszystkich wymienionych okręgach w r. 1897 — 268 emigrantów. Z Galicyi liczba niewiadoma. Wiemy jednak, że statystyki towarzystw, jak nieznaczny udział w Westfalskiem wychodźtwie biorą Polacy w Galicyi. Nadto mamy też liczbę, wykazującą ilu obcych poddanych (oprócz Polaków z Królestwa) pracowało w r. 1897 w okręgu. Było ich 4265 — Włochów, Belgijczyków i Holendrów, Czechów, Niemców z Austryi i Galicyan. Nie omyliłem się też, licząc, że wszystkich razem *było w 1897 r. — 35 tysięcy Polaków* z Niemiec, Królestwa i Galicyi, zatrudnionych w okręgu górniczym dortmundzkim.

Za rok 1898 (miesiąc lipiec) mamy dla tegoż okręgu górniczego statystykę nie opartą coprawda na języku, lecz na miejscu urodzenia górników.

Było zatem pochodzących:

Z Górnego Śląska	5087
Z Ks. Poznańskiego	18004
Z Zachodnich Prus	6638
Z Wschodnich Prus	20169
Razem	49898

Potrąciwszy z tej liczby 10 tysięcy na przybyszów z wschodnich Prus jako prowincyi w połowie niemieckiej, oraz 898 na rzecz Niemców innych prowincyi (jakkolwiek notorycznie wiadomo, że wychodźtwo niemieckie z Księstwa, Prus Zachodnich i Śląska w te strony się nie kieruje) otrzymamy liczbę 39 tysięcy, jako przypuszczalną liczbę Polaków-górników, w r. 1898 okręgu dortmundzkiego. Liczba ta wobec faktu stałego wzrastania wychodźtwa polskiego w Westfalii, może być uznana za dość scisłą, zważywszy, że na innej podstawie oparta statystyka z r. 1897 (z grudnia) wykazywała niespełna $34^{1}/_{2}$ tysiąca.

Przyrost 5 tysięcy z górą w półroczu letniem wydaje nam się zupełnie odpowiadającym rzeczywistości.

Na tej samej podstawie (pochodzenie) opiera się statystyka górników okręgu dortmundzkiego z d. 31 Grudnia 1899 r.

Wykazuje ona urodzonych:

na Górnym Śląsku	6285
w Ks. Poznańskiem	24667
w Prusach Zach.	7897
w Prusach Wschod.	30238
Razem	69,087

Potrąciwszy znowu połowę emigracyi z Prus Wschodnich, jako nie polską, oraz przeznaczywszy dla emigracyi z innych prowincyi ryczałtową sumę 2 tysięcy — otrzymamy liczbę 52 tysięcy. Przyrost przez półtora roku t. j. od lipca 1898 do końca grudnia 1899 wymarłoby zatem 13 tysięcy.

Dla sprawdzenia tej liczby, aczkolwiek jej uzasadnienie z góry już można przewidzieć, możemy zestawić statystykę z r. 1897, podług języka na statystykę z r. 1899, podług miejsca urodzenia, a przekonamy się, że w poszczególnych okręgach pomiędzy wzrostem tych liczb i ich wzajemnym stosunkiem w każdej miejscowości, zachodzi łączność, która wskazuje, że operujemy w obydwóch razach istotnie liczbami oznaczającemi ludność polską...

Okręg górniczy.	1897 Górnicy mówiący po polsku.	1899 Górnicy ze Śląska, Poznańskiego, Prus Zachodnich i pół liczby górn. z Prus Wschodnich.
Recklinghausen	5054	7534
Ost-Dortmund	905	2866
West-Dortmund	2256	3586
Süd-Dortmund	447	1584
Witten	1060	1629
Hattingen	407	997
Süd-Bochum	2158	2413
Nord-Bochum	1719	2569
Herne	5113	6776
Gelsenkirchen	5963	6515
Wattenscheid	3179	3920
Ost Essen	1783	3718
West-Essen	3168	5532
Süd-Essen	172	1105
Werden	18	93
Oberhausen	959	3355

Z powyższego zestawienia wynika, że liczba Polaków-górników obecnie wynosi przeszło 50 tysięcy. *K...*

Polacy w Berlinie.

Towarzystwa polskie w Berlinie mają wśród wychodźtwa polskiego w Niemczech niepoślednie znaczenie, są bowiem pod wielu względami przykładem dla innych — mianowicie co się tyczy odczytów i dyskusyi. Każdy z przejezdnych Polaków słysząc wygłoszony odczyt i przysłuchując się dyskusyi zgromadzonych np. robotników lub rzemieślników, odnieść musi wrażenie, że ci ludzie pod wielu względami wyżej stoją od przeciętnego rzemieślnika w kraju i że reprezentują, czy też reprezentować będą, pewien dodatni czynnik w rozwoju społecznym kraju.

I to przelotne — na jednem lub dwóch posiedzeniach jakiegoś towarzystwa polskiego oparte wrażenie będzie w ogólnych zarysach wiernie i trafnie oddawać charakter berlińskiej kolonii polskiej.

Lecz oddając zresztą najzupełniejszą sprawiedliwość berlińskim towarzystwom polskim wogóle, i wśród nich spotykamy niektóre ujemne wyjątki, — jako unikat wśród kolonii berlińskiej stoi w Berlinie — towarzystwo „wojackie.“

Istnieje ono od lat kilku, nie komunikując się prawie wcale z kolonią polską. Jest to związek wysłużonych wojaków pruskich, mówiących po polsku, t. zw. „Kriegerverein.“ Co parę tygodni odbywają się uroczystości i festyny patryotyczno-niemieckie, nawet z polskiemi przemowami, przy udziale pruskich prawdziwych doboszów z gwardyi. Festyny te i stanowiąca ich część nieodłączną pijatyka, czyli t. zw. *kajners* odbywają się z okazyi urodzin cesarskich, imieniem jakiegoś np. pułku gwardyi, rocznicy zgonu Bismarka i Moltkego itd.

Do tego związku należą wysłużeni żołnierze i kaprale, obecnie będący przeważnie na posadach urzędników państwowych. Naturalnie niema mowy o tem, aby na posiedzeniach towarzystwa tego miano wygłaszać jakieś odczyty polskie. Nawet pieśni polskich „wojacy“ nie śpiewają, lecz same pruskie marsze wojskowe. Towarzystwo to należy do ogólnego związku niemieckich towarzystw wysłużonych żołnierzy — do t. zw. „*Kriegerbundu.*“

Na równie odosobnionem stanowisku wśród kolonii polskiej pozostają towarzystwa loteryjne polskie. Są to stowarzyszenia miłośników gry w loteryę. Za składki miesięczne swych członków zakupuje towarzystwo znaczną ilość ćwiartek losów loteryi państwowej, rozmaitych numerów, a za wygrane pieniądze zakupuje nowe losy, odkładając pewną część na żelazny fundusz. Opodatkowawszy się w ten sposób na rzecz skarbu pruskiego, członkowie towarzystwa oczekują z pełnym spokojem ducha na wielki los. Wogóle niema loteryi, dozwolonej w Prusach, w której by to towarzystwo nie brało udziału. Ponieważ wszelki hazard jest niemoralny, przeto i istnienia towarzystw loteryjnych w Berlinie za dodatni objaw nie uważamy.

Do najpożyteczniejszych natomiast zaliczamy „*Komitet towarzystw polskich.*“

Jest to instytucya, zawiązana w celu wytworzenia łączności i solidarności w sprawach obchodzących wszystkie towarzystwa zarówno. Do komitetu należą delegaci towarzystw, zazwyczaj prezesi. Kwestye, rozpatrywane na posiedzeniach komitetu, odbywających się co miesiąc świadczą, że komitet jest instytucyą bardzo potrzebną i żywotną. Omawiają tam zazwyczaj sprawy takie, jak urządzanie wieców polskich w sprawie nauki języka polskiego, obchodów Mickiewiczowskich, — urządzanie dorocznego święconego dla biedaków, wyznaczenie terminu dorocznej zabawy wszystkich towarzystw polskich — a wreszcie godzenie poważnionych towarzystw i czuwanie nad tem, aby żadne z towarzystw nie dopuszczało się jakichkolwiek wybryków, mogących szkodzić dobrej sławie kolonii polskiej.

Zwłaszcza na punkcie godzenia poważnionych towarzystw i zapobiegania tworzeniu się ciągle nowych odłamów, komitet ma przed sobą istną pracę syzyfową. Jest w Berlinie dość dużo towarzystw mających pewne tradycye za sobą i niepospolite zasługi. Należałoby starać się tylko o to, aby towarzystwa te nadal mogły rozwijać się korzystnie, nabrać sił, powiększać liczbę członków, ulepszyć organizacyę — jednem słowem z coraz większym pożytkiem pracować dla społeczeństwa. Tymczasem coraz częściej dla zupełnie błahych sporów, wynikłych na gruncie osobistych niechęci, następuje w towarzystwie rozłam, pewna część niezadowolonych zakłada nowe towarzystwo, stara się staremu szkodzić, odstręczyć mu członków, zepsuć dobrą sławę. Niech tylko przy wyborach pominą kogoś, komu się zdaje, że powinien być wybrany na prezesa, a wnet malkontent zbiera garść swych zwolenników i zakłada nowe towarzystwo. Powstają więc stąd intrygi, które trudno rozplątać, — sprzeczki, których niepodobna załagodzić. Każde nowo-powstałe towarzystwo sprawia sobie naturalnie chorągiew, bo bez zewnętrznej pomocy przecież istnieć by nie mogło, wyczerpuje zasoby na urządzanie zabaw lub przedstawień amatorskich, które kończą się potem deficytem — a w rezultacie pomawia inne towarzystwo o intrygowanie przeciw zabawie lub przedstawieniu i przypisuje mu swe straty. Wyczerpana kasa nie jest w stanie zaspokoić istotnych potrzeb towarzystwa, brak pieniędzy na elementarze, na gazety i książki.

Summa summarum: duża liczba towarzystw, ale niewielka z nich pociecha, bo większość wegetuje tylko bez możliwości rozwoju.

Był czas, gdy komitet towarzystw chciał takim sprzeczkom i intrygom położyć koniec i objąć pewnego rodzaju juryzdykcyę nad towarzystwami. Niestety okazało się wkrótce, że zachwiać to może bytem samego komitetu, ale stosunków niezdrowych nie naprawi. Jeden wszakże dodatni rezultat odniosły te usiłowania: oto udało się wszystkie kółka i towarzystwa śpiewackie polskie połączyć w jedno wielkie towarzystwo „Harmonia", które występuje ze śpiewem na rocznicach i obchodach innych towarzystw.

Bodaj czy nie ważniejszą kwestyą od godzenia zwaśnionych towarzystw ma komitet towarzystw przed sobą w postaci potrzeby zorganizowania łącznej opieki nad nędzą polską w Berlinie. Z roku na rok powiększa się liczba przyjeżdżających do Berlina Polaków bez żadnych środków utrzymania. Dla najbiedniejszych, nie mających gdzie przenocować, istnieje „Przytulisko". Korzystają też z niego obficie. Lecz szerzy się także system „odwiedzania rodaków" w ich mieszkaniach z prośbą o datek. Zgłaszający się są w większości przypadków niegodni wsparcia. Na posiedzeniu komitetu towarzystw opowiedział przewodniczący przykład charakterystyczny systematycznie uprawianego wyzysku przez „podróżujących Polaków". Zgłosił się otóż do niego jakiś Polak, niemający — wedle własnych słów — za co wrócić do kraju. Prezes komitetu, wzruszony jego opowiadaniem o przebytej nędzy, zdecydował się mu pomódz i kupić bilet do samego Poznania. Że zaś ostrożność nie zawadzi, nie wręczył mu pieniędzy do ręki, lecz posłał z pieniędzmi chłopca ze swego warsztatu, który miał polecenie kupienia biedakowi biletu i wyprawienia go w drogę. Chłopiec wywiązał się z polecenia skrupulatnie i podróżnego wsadził do pociągu, kupiwszy mu bilet do Poznania.

Jakież było zdziwienie ofiarodawcy, gdy nazajutrz wypadkowo spotkał na ulicy w Berlinie to samo indywiduum. Okazało się, że sprytny „podróżny Polak" wysiadł na najbliższej stacyi, jeszcze w Berlinie sprzedał bilet za połowę, lub prosił o zwrot pieniędzy przy kasie, a sam dalej uprawiał proceder szukania pieniędzy na podróż.

A jednak nieopisaną jest nędza, panująca wśród istotnie powracających do kraju wychodźców, którym środki zazwyczaj starczą do Berlina, a w Berlinie ich ludzi nadzieja wystarania się o sposób powrotu do kraju.

Taka powrotna fala biedy i nędzy zalewa kolonię polską w Berlinie zazwyczaj w jesieni. „Przytulisko" przepełnione, prywatne fundusze wyczerpane, a tu procesye biedaków krążą od domu do domu polskiego, lub — co gorsza — nieporadne i bezsilne dostarczają stolicy najgorszych warstw proletaryatu. I dlatego wzdycha tutajsza kolonia za „*Domem polskim*", którby naszą społeczną działalność skoncentrował.

B....

Towarzystwa polskie w Berlinie.

W małych fabrycznych osadach, gdzie zatrudniona choćby w mniejszej liczbie ludność robotnicza polska stale się spotyka i komunikuje ze sobą, dzięki warunkom pracy, lokalizującej całą kolonię w jednej grupie — założenie towarzystwa jest stosunkowo łatwą rzeczą; w wielkich zaś miastach, pomimo bezporównania większej liczby wychodźców, trudniej jest skojarzyć ich do wspólnej pracy, z powodu przestrzeniowego roztrzelenia i rozbicia całej kolonii niejako na atomy. W małej osadzie kilkutysięczna kolonia polska daleko mniej się germanizuje, dzięki tej spójności, niż kilkudziesięciotysięczna kolonia w Berlinie, Wrocławiu i t. d.

Założenie towarzystwa polskiego w mieście niemieckiem jest już dla kolonii naturalnie pierwszym nader doniosłym krokiem, ale jeszcze nie świadczy o zupełnem rozbudzeniu narodowości. Początkowo bowiem prawie wszystkie towarzystwa noszą charakter wyłącznie religijny. I po dziś dzień nawet, po długim szeregu zupełnie świadomie podejmowanych usiłowań, znaczna część berlińskich towarzystw nosi wybitnie religijny charakter; zazwyczaj nie wynika jednak z istotnej, głębokiej religijności, lecz raczej ztąd, że członkowie towarzystw są w stanie czuć i rozumieć tylko zewnętrzną obrzędową stronę religijnego uczucia, a nie mają zrozumienia i poczucia swych spraw narodowych. Jest to oczywiście wynikiem tego wychowania, jakie odebrali w kraju. Tam czuwano nad ich stroną religijną, ale nie nauczono ich rozważać i pojmować spraw społecznych i narodowych. Znajdując się na obczyźnie, uważają się oni wprawdzie za Polaków, ale istotne poczucie narodowości rozwija się u nich dopiero w razie sprzyjających okoliczności. Przed pięciu laty jeszcze berliński organ polski konstatował, że w wielu towarzystwach można było napotkać rozmaite zwyczaje kongregacyi wyłącznie religijnych, kreślił taki oto obrazek z posiedzenia takiego towarzystwa: „W lokalu knajpiarskim zasiedli członkowie. Ten i ów pali cygaro lub papieros. Przed zebranymi stoją szklanki z piwem lub innymi napojami. Przed osobami, składającemi prezydium, stoi — obok kufli krzyż. Przy świętościach religijnych palą się świece. Jednem słowem — towa-

rzystwo robi sobie ołtarzyk — w knajpie, przy napojach i paleniu.

Przy takim zaimprowizowanym ołtarzyku, wśród dymu tytuniowego i trącania się kuflami, bywają czytane św. ewangelie i rozlegają się chórem dźwięki pobożnych pieśni..."

Dzisiaj coprawda już coraz mniej znaleźć można w Berlinie takich towarzystw, których jedyną treścią posiedzeń byłaby obrzędowa strona religijna.

Na porządku dziennym posiedzeń zaczynają się pojawiać odczyty, nieraz historycznej treści, a pobożne kantyczki ustępują miejsca żywej dyskusyi nad potrzebami emigracyi.

I tem się różnią właśnie towarzystwa, które powstały bez inicyatywy z zewnątrz od tych, które zawdzięczają swój byt inicyatywie narodowo rozbudzonych jednostek; pierwsze, zanim się staną organizacyą świadomie przeciwdziałającą germanizacyi, przebyć muszą fazę „religijną", drugie zaś odrazu w wytkniętym kierunku pracują. Jako przykład tego drugiego towarzystwa, przytoczyć można powstałe w Schoenebergu pod Berlinem tow. katol. robotników polskich, którego sprawozdanie z r. 1893 zawiera następujący charakterystyczny ustęp, dotyczący powstania:

„W Berlinie i okolicy na tysiące się liczy robotników polskich, którzy mało lub wcale nie dawali znaku życia, jako synowie jednego narodu. To się bowiem stać może tylko zapomocą łączności w towarzystwach.

„Otóż przed niedawnym czasem kilku ludzi dla sprawy polskiej dobrze myślących powzięło myśl zakładania towarzystw dla robotników polskich, aby takowi łącząc się w nie jako Polacy utwierdzali się w swej wierze i narodowości i poznawszy swój cel, jako Polacy, wspólnemi siłami pracowali ku obronie przed zagładą naszej narodowości, nad którą prąd germanizacyjny z całą gwałtownością działa."

Obecnie prawie wszyskie istniejące w Berlinie towarzystwa polskie należą do tego drugiego typu, scharakteryzowanego w powyższych słowach.

W Berlinie istnieją towarzystwa następujące:

Tow. Kupców Polaków.
Tow. przemysłowców polskich.
Tow. Obywateli poskich.
Tow. Katol. Robotników polskich.
Tow. „Stella."
Tow. przemysłowe „Piast."
Tow. polskich piekarzy.
Tow. polsko-katolickie pod opieką św. Kazimierza.
Tow. polsko-katolickie.
Tow. „Wulkan pod białym orłem."
Tow. polsko-kat. na Północy.
Tow. polsko-kat. Robotników pod op. św. Józefa.
Tow. Narodowe Wzajemnej Pomocy.
Tow. Socyalistów polskich, wreszcie akademickie „*Towarzystwo Naukowe Polaków w Berlinie.*"

Towarzystw kobiecych jest:
Tow. polskich Obywatelek.
Tow. Polek pod opieką św. Józefa.
Tow. Polek.
Tow. Polek „Gwiazda."

Śpiewackich towarzystw jest 3. Największe z nich, powstałe przez połączenie rozmaitych chórów istniejących oddzielnie przy towarzystwach jest „*Harmonia.*"

Dalej jest: „*Tow. śpiewu polskiego*" i „*Tow. śpiewu kościelnego św. Cecylii.*"

Gimnastyczne towarzystwo jest jedno: „*Sokół.*"

I po za obrębem Berlina są w pobliżu polskie towarzystwa. W bratnim Charlottenburgu jest „Tow. kat. robotników polskich: „Braterstwo", „Tow. gimnastyczne Sokół", „Koło śpiewaków polskich", oraz „Bezpłatna biblioteka polska."

Na przedmieściach Berlina:

W *Rixdorfie* „Tow. robotników polskich w Rixdorfie.

W *Weissensee* „Tow. polsko-kat. św. Stanisława."

W *Schoeneberg* „Tow. kat. robotników polskich."

W Kahlberge-Rüdersdorf: „Tow. kat. robotn. polskich."

W Königs-Wusterhausen: „Tow. budowy kościoła katolickiego."

Sama liczba towarzystw polskich wskazuje, że przyczyną ich zakładania były potrzeby lokalne danych dzielnic Berlina, lub jego przedmieść.

Nie ulega jednak wątpliwości, że był czas, gdy w tworzeniu się towarzystw polskich w Berlinie zauważyć było można pewną nadprodukcyę. Przypisać ją można osobistym względom rozmaitych osób, chcących piastować urząd prezesów. W ciągu ostatniego dziesięciolecia dużo towarzystw zgasło z powodu braku żywotności. Było np. „Tow. młodzieży jagiellońskiej", „Dziewica polska", „Polsko-dramatyczne Towarzystwo", „Tow. narodowe wzajemnej pomocy" — dziś już nie istniejące. Inne Towarzystwa złączyły się w jedno: tak było np. z towarzystwem „Wulkan" i towarzystwem „Orzeł", z których dziś zrobiło się towarzystwo „Wulkan pod białym orłem."

W ostatniem dziesięcioleciu dokonywał się w towarzystwach polskich wewnętrzny rozwój, którego śladów nie dopatrzymy się np. w liczbie członków, ale w liczbie książek w bibliotece i w odczytach. Dziesięć lat temu wszystkie prawie towarzystwa nosiły religijny charakter, a odczyty „świeckie" były rzadkością. Dziś jest inaczej.

Towarzystwo „Obywateli" liczyło w r. 1893 — 34 członków, miało w bibliotece 130 dzieł.

Dziś liczy członków — 92, ma zaś w bibliotece 340 dzieł. „Piekarze" mieli w tymże roku 74 członków. — Dziś mają 120, własny lokal posiedzeń, dużo pism fachowych, zasób na bibliotekę i kilkaset marek oszczędności w kasie. W równej mierze rozwinęły się i inne towarzystwa polskie. Prawie we wszystkich posiedzenia odbywają się co miesiąc, a przynajmniej co drugie posiedzenie są jakieś poważne odczyty, a po nich dyskusye. W braku odczytów oryginalnych, którykolwiek z członków towarzystwa odczytuje arykuły z gazet i rozpoczyna dyskusyę. *D. S.*

Specyalna korespondencya „Pracy".

Walka wychodźtwa polskiego o równouprawnienie języka ojczystego w kościele.

Berlin, 31 grudnia 1900.

II.

Przekonanie, iż przeważna część duchowieństwa niemieckiego przy ocenie wymagań parafian - Polaków nie rządzi się ścisłą bezstronnością i rzeczowością, lecz daje się powodować uprzedzeniami ku narodowości, *bardzo powoli* tylko szerzyć się mogło wśród polskiej osady berlińskiej.

Największą ku temu przeszkodą, nie dalej jak z dziesiątek lat temu wstecz, był fakt, że w polskich towarzystwach tutejszych procent członków robotników był bardzo mały. A przecież głównie dla licznych rzesz tych robotników domagaliśmy się więcej kazań polskich, śpiewu polskiego w kościele itd. — jakżeż mogli niechętni narodowości polskiej księża uwzględniać te pragnienia, skoro wskazywać nam mogli, że robotnicy polscy przystępują całemi gromadami do niemieckich kółek parafialnych, że uczestniczą też gorliwie w posiedzeniach, śpiewają pieśni niemieckie itd. Widocznie więc znają dość biegle język niemiecki, że nie potrzeba niepokoić wyższej władzy o przysyłanie więcej księży po polsku mówiących!

Że niejeden z owych gorliwych członków niemieckich „verajnów" w głębi duszy chował niewypowiedziane pragnienia co do swego języka ojczystego, upośledzanego w towarzystwach i w kościele, o to się nie troszczono — że ich nie wypowiadał, bojąc się obrazić czcigodnych swych duszpasterzy, to zapewne duchownym niemieckim po większej

części i na myśl nie przychodziło. Wyraźnie to zaznaczam, pragnąc w zarysie niniejszym przedstawiać rzeczy bezstronnie.

Nie należy mniemać, że wszyscy duchowni opierający się szerszemu uwzględnianiu języka polskiego w kościele, działali z przeświadczeniem, iż *krzywda się dzieje* Polakom: w przeciwieństwie do garstki konfratrów uwzględniających język polski, działali oni wszyscy jako patryoci niemieccy, jedni z większą zaciętością i świadomością ułatwiając germanizacyę, drudzy godząc się na nią w milczeniu i z obojętnością ludzi nie czujących chęci i potrzeby powstrzymywania jej, ale Bóg raczy wiedzieć, ilu z nich odczuwało wyraźnie, że *krzywda* się dzieje Polakom w Berlinie! Toż prosty lud, robotnicy, nie skarżyli się! Nie mają więc widocznie poczucia narodowego i pragnień uwzględniania języka polskiego, przeto też krzywdy poczucia mieć nie mogą!

Budzące się tedy wątpliwości można było uspokajać rozumowaniami, jakie opisałem w pierwszym ustępie tej pracy mówiąc o odpowiedziach, dawanych księżom i pismom popierającym życzenia Polaków.

Istotnie — przeważna część przybywających na obczyznę robotników naszych, nie miała wyrobionego poczucia narodowego. Gdyby to były towarzystwa polskie z księżmi *polskimi* jako prezesami na czele, ludzie ci hurmem byliby się garnęli do tych towarzystw. Skoro istnieją tylko niemieckie kółka parafialne pod przewodnictwem księży Niemców, więc oczywiście obowiązkiem robotników katolickich, wstępować do nich i poprzeć je! Gdzież mogą lepiej uchronić się od zatracenia wiary przodków, jak tam?! A chroniąc od zatraty skarb wiary, wszakże działają jedynie w myśl napomnień, tylekrotnie słyszanych w kraju?!

A czyż im nie mówiono w kraju — zapyta może niejeden — że winni także dbać o zachowanie języka ojczystego? Zapewne, że mówiono! Ale... widocznie za mało dobitnie — a wierzcie prawdę rzekłszy, niejeden, przynajmniej lat temu kilkanaście, wcale też o tym obowiązku nie zasłyszał. W szkole uczył się był jeszcze przeważnie po polsku, kazania w kościele słuchał polskiego, ale do towarzystw żadnych jako robotnik nie należał. Bo do spółek rolniczych itp. jako wyrobnik nie miał po co chodzić — tam chodzili tylko gospodarze. Był więc taki robotnik Polakiem w swem poczuciu jako katolik chodzący do „polskiego" kościoła, w przeciwstawieniu do Niemców-protestantów. Księża polscy w kościele, z kazalnicy, lub w towarzystwach różańcowych i przy pogadankach religijnych nie chcieli występować z czemkolwiek, coby uzasadniało zarzut ks. Bismarka, iż są „agitatorami" polskości wraz z szlachtą. Nawiasem mówiąc, sądzę, iż przebiegły kanclerz żelazny, wypowiadając ów zarzut, wiedział bardzo dobrze, jak się w istocie rzeczy mają i chciał jedynie zastraszyć tych niewielu kapłanów polskich, którzy poza obowiązkami duszpasterstwa nietylko działali jako obywatele polscy w kołach rzemieślniczych, ale starali się także oddziaływać na uświadamianie szarych rzesz robotniczych. Uprzytomnijmy sobie, że dużo aż nadto było w kraju pracy dla inteligencyi świeckiej i duchownej w sferach mieszczaństwa. Wspomnijmy dalej, że jeszcze dość długo po walce kulturnej robotnicy polscy w niewielkiej względnie liczbie opuszczali na stałe strony rodzinne, a zrozumiemy, że gdy wychodźtwo robotników zaczęło się odbywać tłumnie, fakt ten *zaskoczył* nieprzygotowane społeczeństwo. Toż niejedni sądzili wówczas, że powstrzymać można groźne fale wychodźtwa, spowodowane rozwojem gospodarczym, prostem nawoływaniem i zaklinaniem!

Zważywszy zaciętą walkę z żywiołem niemieckim na każdem polu, jaka rozpętaną została po roku 70, a szczególnie w przedostatnim dziesiątku lat dobiegającego stulecia, trudno przesądzać, ile winy po stronie społeczeństwa w kraju, że w stanie robotniczym nie dość wybitnie rozwinęło się poczucie narodowe, zdolne go obronić na obczyźnie od zniemczenia. Faktem jest, iż inteligencyi tutejszej i uświadomionym kołom przemysłowców nie można zarzucać, że nie zdołali tych szarych wielotysięcznych tłumów powstrzymać od zatonięcia w morzu niemczyzny. Wszakże społeczeństwo berlińskie oddawna poznawało, w jakim kierunku wytężać należy siły, ażeby osięgać upragnione skutki.

Że usiłowania nasze rozbijać się musiały o przemożny opór nieprzychylnego duchowieństwa niemieckiego i wobec obojętności ludu roboczego, po wywodach powyższych każdy łatwo zrozumie.

Polepszenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy wśród wychodźców przybywali tu coraz częściej i robotnicy, pełni poczucia narodowościowego i stawali w szeregu wraz z rzemieślnikami. Założono jedno, drugie i trzecie towarzystwo robotnicze polsko-katolickie. I w nich omawiano sprawę nabożeństw polskich gorliwie. Robotnik łatwiej przyciągał robotnika do towarzystwa, aniżeli to zdołał czynić rzemieślnik, członek towarzystw przemysłowych. Z początku szło też jeszcze oporem, bo w towarzystwach robotniczych działali tylko świeccy, ale z czasem i pod tym względem nastąpiła zmiana; dwaj księża Polacy, swego czasu rządowcy, osiadłszy jako pozasłużbowi w Berlinie i pogodziwszy się potem z władzą kościelną, zaczęli pracować po towarzystwach polskich. Do towarzystw tych zabierać więc poczęli robotnicy większego zaufania. Zważmy, że równocześnie w kraju, po ochłonięciu ze skutków nagłego wezbrania wychodźtwa, poczęto zakładać coraz częściej, coraz liczniejsze towarzystwa ściśle robotnicze — ludzie, którzy do nich należeli, przybywając na obczyznę szukają też zaraz zespolenia z rodakami, nie zadawalając się przynależytością do katolickiego niemieckiego „verajnu."

Coraz mniej więc takich, którzy polskość swoję zasadzają li tylko na tem, że chodzą do „polskiego", t. j. katolickiego kościoła, a więc w Berlinie z konieczności na nabożeństwa niemieckie. Coraz więcej takich i pomiędzy robotnikami, którzy rozumieją, że gdzie Polacy tworzą jedną trzecią, a nieraz połowę parafii, można żądać uwzględnienia lub współuprawnienia języka polskiego, bez ujmy dla czci należnej duchowieństwu. Dużo też do uświadomienia robotników polskich przyczyniło się częste przebywanie po towarzystwach i występowanie na wiecach b. posła, księdza szambelana W. Praca jego dużo przyczyniła się do tego, że podziś dzień już pomyśleć można było o zjednoczeniu wszystkich towarzystw tutejszych celem wspólnej akcyi w sprawie nabożeństw polskich.

Czy nie można było wieca takiego urządzić już dawniej? Zdaje się tak może niejednemu, przebywającemu tu od paru lat dopiero lub od kilku miesięcy; wszyscy jednak, którzy stosunki, jakie powyżej opisywałem, mieli sposobność śledzić od lat kilkunastu, wiedzą doskonale, że trzeba było czekać cierpliwie, aż podstawa ruchu będzie dość szeroką. Odbywały się w ostatnich latach często, jak wiadoma, wiece w poszczególnych parafiach — one to właśnie przygotowywały grunt do zespolonego działania, przysparzając nam coraz więcej pracowników ze stanu robotniczego. A o tych właśnie chodzi, jak łaskawy Czytelnik z wywodów mych zapewne wyrozumiał, by dopominania się nasze wywarły wrażenie na władzę kościelną.

Czy wreszcie może i rok temu już nie byłby się wiec ogólny równie udał, o to przecież sprzeczać się nie ma co — to pewna, że kilka lat temu stanowczo nie byłby się tak udał. Podziś dzień gorliwych katolików, którzy nie obawiają się *wypowiedzieć* swych żalów i pragnień, tajonych dawniej w głębi serca, którzy nie mają obawy uchybienia tem stanowi kapłanów, swych duszpasterzy, liczymy na tysiące. Kroczymy więc już drogą pewną Na wiec ostatni zgromadziło się około 1800 osób, a przynaj-

mniej połowę zebrania stanowili prości robotnicy ze swemi rodzinami.

Starałem się dać jasny pogląd na rozwój stosunku tutejszych Polaków katolików do władzy duchownej i określić znaczenie i doniosłość naszego ostatniego wiecu. *J. K.*

Głosy przyjaciół z obczyzny.*)

Bochum (Westfalia.)

Kochana „Praco!“

Nie widząc żadnej korespondencyi z naszego tu miasta, które przecież na równi z Bottropem i Gelsenkirchen uchodzić może za główny punkt polskości, w krótkich słowach napiszę o Bochum.

Bochum i najbliższa okolica liczy około trzech tysięcy Polaków. Wychodźcy polscy osiedlili się tu już oddawna. Kolonia polska w Bochum należy do najstarszych osad polskich w Wesfalii. Istnieniejące po dziś dzień Towarzystwo św. Barbary należy do najstarszych towarzystw polskich w Westfalii. Liczy ono obecnie około 150 członków. Zebrania, jak prawie we wszystkich towarzystwach polskich w Westfalii, odbywają się co dwa tygodnie. Członków bywa przeciętnie 50. Biblioteka niezmiernie mała, liczy bowiem zaledwie 130 tomów, co jak na przeszło dwudziestoletnie istnienie towarzystwa, jest trochę mało i wymownie świadczy o zaniedbaniu, panującem pod tym punktem wogóle.

Poza tem jest Tow. św. Andrzeja i Koło śpiewu — „Halka.“

Tylko te trzy towarzystwa mają do pewnego stopnia byt i rozwój zapewniony. Inne wskutek politycznego ucisku, wywieranego przez policyą, wegetują tylko, lub faktycznie zawiesiły swe czynności.

Do liczby wegetujących należy towarzystwo gimnastyczne „Sokół.“ Już od roku prawie niema ani zebrań, ani ćwiczeń i chyli się ku upadkowi. Zbyt czuła opieka policyi jest jedynym tego powodem.

Do faktycznie rozwiązanych towarzystw należy „Oświata“, którą jako towarzystwo polityczne zawiązało grono ludzi dobrej woli. Było to towarzystwo niezmiernie pożyteczne, którego głównym celem było organizowanie odczytów z historyi polskiej i wogóle wykładów publicznych dla Polaków z wyraźną tendencyą przeciwdziałania germanizacyi.

Towarzystwo to przestało istnieć wskutek nacisku policyi. Policya tak potrafiła wpłynąć na bochumskich restauratorów i właścicieli lokali, że żaden nie chciał dać towarzystwu sali, aby zaś już dopiec towarzystwu porządnie, pozbawiono przewodniczącego bardzo korzystnego miejsca. Jest to sposób, którego się bez powodzenia chwyciła policya wobec naszej kochanej „Pracy“ — wydalając Dra Rakowskiego z Prus.

Istnieje tu też tak niby zamarłe towarzystwo św. Józafata. Założył je ks. Liss w celu dawania zapomogi młodzieży polskiej, sposobiącej się do stanu duchownego, z tym warunkiem, że po odebraniu święceń kapłańskich zajmą się duszpasterstwem wśród Polaków w Westfalii. Kto złożył 1 mk. na ten cel, zostawał członkiem, kto złożył 3 mk., zostawał „członkiem honorowym.“

Niestety ta sama wroga Polakom władza duchowna, która księdza Lissa niejako pod przymusem moralnym usunęła od jego stada — przeszkodziła i urzeczywistnieniu tych zacnych jego planów. Zebrane pieniądze szły na jakiś żelazny fundusz, ale i o tym obecnie nic nie słychać.

Prócz wymienionych powyżej towarzystw, istnieje „bractwo różańcowe Polek.“ Jest to stowarzyszenie religijne, którego cele polegają na tem, że należące do niego Polki schodzą się na wspólną modlitwę i odmawiania różańca do kościoła. Żadnych zebrań z odczytami towarzystwo to nie odbywa.

Istnieje też „Związek Polaków w Niemczech“ z siedzibą w Bochum. Jest to towarzystwo, które obecnie rozwinęło wielką ruchliwość w zwoływaniu wieców polskich.

Składka członków wynosi 50 fen. rocznie. „Związek“ istnieje od r. 1894-go.

Bochum dlatego odgrywa ważną rolę w życiu westfalskich Polaków, ponieważ tu wychodzi polska gazeta „Wiarus polski.

Jakeśmy rzekli, w okolicy zamieszkuje dużo Polaków. Są to przeważnie górnicy. — W samem Bochum mieszka górników z rodzinami około 250. Za to w najbliższem sąsiedztwie, w osadach Somborn, Harpen, Laer, Hordel — mieszka przeszło 1200 górniczych rodzin polskich. Wszystkie mają stosunkowy dobrobyt.

Aby dać miarę, jak poważny procent zatrudnionych w poblizkich kopalniach górników stanowią górnicy Polacy, dość przytoczyć tylko, że w szybie Dannenbaum (okręg górniczy *Süd-Bochum*) pracuje 72 procent Polaków w stosunku do ogółu pracujących. Na tem kończę i pozdrowienia przesyłam.

Czytelnik z obczyzny.

* * *

Gerresheim.

Szanowna „Praco!“

Gerresheim jest to małe miasteczko, położone w pobliżu Dysseldorfu. Liczy około 13 tysięcy mieszkańców, z czego Polaków ma być przeszło 2 tys. Pomimo tej znacznej liczby Polaków istniejące tu towarzystwo polskie św. Tadeusza liczy zaledwie 60 członków i raczej wegetuje, rzec można, niż się rozwija. Na posiedzenia przychodzi zaledwie po 15 do 20 członków. Biblioteka liczy 146 książek.

Wielką konkurencyę wytwarza towarzystwu polskiemu towarzystwo St. Hubertus, mięszane z katolików, Polaków i protestantów, a oficyalnie nazywające się niemiecko-katolicko polskiem-strzeleckiem towarzystwem.

Należy do niego do 75 Polaków, którzy szerzą zupełny indyferentyzm na punkcie narodowości.

Polacy w Gerresheim zamieszkali pracują przeważnie w hucie szklannej i w fabrykach. Są dość zamożni, ale się zniemczą, jeśli się zawczasu nie pomyśli o agitacyi wśród nich, gdyż dla samego, najdalej na południe posuniętego położenia, oddaleni są od ruchu polskiego w Westfalii.

Z pozdrowieniem
K.

* * *

Langerfeld.

Kochana „Praco!“

Chwytam za pióro, aby do zajmujących korespondencyi, które ogłaszasz o Polakach zamieszkałych w rozmaitych miejscowościach, dorzucić kilka szczegółów nieznanych.

Dola dziewcząt polskich, których rok rocznie kilkanaście tysięcy opuszcza kraj rodzinny, udając się do Niemiec, godną jest pożałowania. Trudno zebrać jakiekolwiek materyały statystyczne do tej kwestyi, ale to pewna, że większość ich *nie wraca i zupełnie się marnuje*, w upodleniu i szpitalach kończąc życie.

Do jednej kategoryi należą proste dziewczęta wiejskie, które udają się z partyami obieżysasów na sezonową robotę letnią.

Są między niemi często takie, które przez dwa lub trzy lata chodząc „na sachsy“ skrzętnie zbierają grosz każdy i uciuławszy kilkaset marek, oraz trochę przedmiotów potrzebnych do gospodarstwa, wydają się dzięki temu „wianu“ zamąż w kraju. Te dzięki swej silnej woli niezbicie dążącej do tego jednego tylko wytkniętego celu, unikają szczęśliwie wszelkich niebezpieczeństw, zagrażających samotnej dziewczynie na obczyźnie. Ale większa część z dziewcząt, idących na „sachsy“, albo wychodzi zamąż za Niemców na obczyźnie i do kraju już nie wraca, albo — jeśli wraca — to po to, aby w zimie pozostawić w rodzimej chacie na opiece matki swój przychówek i z najbliższą wiosną ruszać w świat.

Są dziewczyny, które przez kilka lat rok rocznie przywożą ze sobą do kraju powiększenie rodziny, a o ile wreszcie nie utoną gdzieś w morzu niemieckiem, szerzą w kraju demoralizacyę, obciążają zapomogami budżet gminy i powiększają szeregi proletaryatu.

Oprócz dziewcząt, które wychodzą na obczyznę z obieżysasami, są jeszcze dwa rodzaje emigrujących: robotnice fabryczne i służące.

W przemysłowym okręgu nadreńskim i w fabrykach saskich potrzeba do przędzalni i warsztatów tkackich dziewcząt polskich, które agenci, stręczący zatrudnienie, werbują po kilkadziesiąt naraz do każdej fabryki.

Dziewczęta te, mając stały zarobek w ręku, nie myślą o powrocie do kraju tembardziej, że olśniewa je samodzielność, jakiej używać mogą w całej pełni na obczyźnie. Dopiero przerwa w możności zarobkowania, wywołana poważnym stanem, zwraca myśli i serce ich w rodzinne strony. Niektóre wracają do kraju, złamane i odarte z ostatniego grosza, inne po ciężkich przejściach, nauczone smutnem doświadczeniem, dążą tylko do tego, aby się wydać za mąż naturalnie za Niemca, a inne, — a tych jest procent bardzo znaczny — sprzykrzywszy sobie pracę w fabryce, zachęcane faworyzowaniem i „poparciem“ mężczyzn, szukają lżejszego zarobku i zostają kelnerkami. Stąd tylko krok jeden do jeszcze... lżejszego zawodu, do którego przejście ułatwia im policya lub szpital.

*) Przedruk wzbroniony.

Do takiej np. przędzalni w Lennep, w pobliżu Elberfeldu, niedawno temu agenci przywieźli kilkadziesiąt dziewczyn polskich na stracenie.

Wymieniliśmy powyżej trzeci rodzaj emigracyi: służące. Zapotrzebowanie służących i pokojówek jest wszędzie w Niemczech, zwłaszcza w większych miastach, — ogromne. W Berlinie, Wrocławiu, Lipsku, Dreźnie — tysiącami bawią na służbie służące śląskie, Niemki. Ale i tych jest zamało. Sięgnąć trzeba więc w Poznańskie. To też we wszystkich tych większych, jak i mniejszych miastach napotkać można służące, kucharki i pokojówki Polki. Są to zazwyczaj dziewczyny oszczędne i pracowite, które po kilku lub kilkunastu latach wracają do kraju z zaoszczędzonym kapitalikiem. Prawdziwą dla nich plagą są oszuści, pod pretekstem małżeństwa wyłudzający uciułany kapitalik służącym. Polki są pod tym względem bardzo łatwowierne i często padają ofiarą tych oszustw.

Nie są nam znane biura, któreby większemi partyami sprowadzały służące-Polki. Jednym z najczęstszych powodów udawania się na obczyznę w charakterze służących, jest u dziewcząt polskich z Poznańskiego — sieroctwo, brak oparcia u rodziny, zawód miłosny, zniewalający młodą dziewczynę do odsunięcia się od znajomych, — a rownolegle z tem odraza do pracy w fabryce lub na roli, jako do „gorszej“.

Położenie służących ma to do siebie, że nie daje żadnych widoków polepszenia bytu w przyszłości, żadnego „awansu.“ Robotnica fabryczna, pracująca z początku jako „podawaczka“ — spodziewać się może, że przy pracy i inteligencyi będzie z czasem „dozorczynią“ towarzyszek; służąca niema takich widoków i dlatego też właśnie najczęściej inteligentne i bardziej rozwinięte dziewczyny w nadziei poprawienia losu — o ile zewnętrzne ich warunki temu odpowiadają — dają się porwać złudzeniu zrobienia „karyery“ i zostają bufetowemi w kawiarniach, kelnerkami, sprzedawaczkami kwiatów, modelkami lub nawet — chórzystkami.

Inne, wykoleiwszy się raz, od razu zaczynają od tego, na czem ich towarzyszki, przeszedłszy szkołę kelnerstwa, sprzedaży kwiatów itd. kończą.

Dotknąć tu wreszcie wypada jednego punktu, wspólnego w życiu dziewczyn-obieżysasek, robotnic fabrycznych i służących: jeśli nie wszystkie, to przynajmniej 70 procent z nich okupuje swój pobyt na obczyźnie nielegalnem macierzyństwem. Jakkolwiek dziwnem się to wydawać może, sądzimy, że nietylko same okoliczności wyrywające dziewczynę z pod opieki rodziny, a stawiające ją samą pośród obcych, wywołują niepożądany ten objaw, — ale że nadto przyczynia się do tego w znacznej mierze opieka, jaką prawodawstwo niemieckie otacza takie dziewczyny w stosunku do ich krzywdzicieli. Najprostsza nawet dziewczyna wie obecnie, że sąd opiekuńczy broniąc interesów jej i jej dziecka, zmusi mężczyznę do zapłacenia jej odszkodowania za stracony czas pracy, za koszta poniesione, a nadto do płacenia miesięcznych alimentów na dziecko. Oprócz tego zaprowadzone w całych Niemczech kasy chorych, do których należą wszyscy zarobkujący pracą fizyczną, zapewniają w podobnych razach dziewczynom pomoc materyalną i opiekę. Wyrabia to w nich z jednej strony przekonanie, że podobne przejścia są wprawdzie przykre, ale uchodzić mogą bezkarnie i że społeczeństwo nie ściga tak mściwą dłonią tych wykroczeń, jak w kraju; — a z drugiej strony przejmuje dziewczęta poczuciem wdzięczności dla tego obcego społeczeństwa. Pamiętam rozmowę, którą prowadziłem z pewną robotnicą fabryczną w Dreźnie o tych rzeczach:

„Co mi tam powrót do kraju! rzekła. Tu gdy mi się przytrafi *nieszczęście*, to jeszcze mi lepiej, i wygodniej, i nie napracuję się. Jest opieka nad nami! A w kraju — to co? Wszyscy pomstują, a nikt nie pomoże, Mnie się tu podoba!“

Oto są szczegóły — nieco wprawdzie drastyczne — ale wiernie oddające położenie naszych dziewcząt na wychodźtwie. *R.*

* * *

Derne.

Kochana „Praco!“

W Derne (Westfalia) zamieszkuje przeszło 300 Polaków, którzy prawie wyłącznie zatrudnieni są w kopalniach węgla. Większa część pracuje w szybie Gneisenau, część zaś w szybie Preussen I.

Początek osiedlania się tu Polaków sięga zaledwie 1892 roku. Aż do roku 1894 nie było tu ani kościoła, ani księdza katolickiego. Dopiero napływ ludności spowodował władzę duchowną do rozpoczęcia budowy kościoła, (w r. 1897) i do przysłania wikaryusza ks. Ibinga (w r. 1894). Przez cztery lata nabożeństwo dla katolików Niemców i dla Polaków odbywało się w sali, która dziś służy za miejsce zebrań towarzystw katolickich.

Od roku 1894 rozpoczęło się zbieranie składek na budowę kościoła, w czem Polacy znaczny i chętny wzięli udział. W tymże roku założono towarzystwo polskie św. Marcina. Spotkało się ono zrazu z życzliwem poparciem księdza, jakkolwiek wtedy już miejscowa policya stawiała przeszkody w odbyciu teatru amatorskiego, koncertu i t. d. Pochodu z chorągwią stanowczo zakazała policya, choć na razie zapisało się do towarzystwa zaledwie 24 członków. Założycielem i duszą towarzystwa był p. Stanisław Kunz, górnik, człowiek bardzo światły i sprawie oddany. Dzięki jego staraniom doszło towarzystwo obecnie do liczby 60—70 członków, prenumeruje „Pracę“, „Czytelnię Polską“, „Wiarusa“, „Gońca“ „Wielkopolanina“ i „Gaz. Narodową“, ma bibliotekę, a na posiedzeniach bywają odczyty historycznej treści.

Kościół, budowę którego rozpoczęto w r. 1897, w następnym roku został uroczyście poświęcony przy współudziale Polaków, którzy kosztem 900 mrk. wystawili własny ołtarz św. Alojzego.

W okolicy Derne leży kilka miejscowości, zamieszkałych przez Polaków, jak np. Mengede, gdzie samych górników Polaków jest 160, a ogółem mieszka ze 200 Polaków. W najbliższem sąsiedztwie jest miejscowość Körl, która zasługuje na osobną wzmiankę.

W Körl (*Kourl*) przebywa stale 150 do 200 Polaków. Są to przeważnie ludzie światli i do czytania gazet oraz pracy w towarzystwie skorzy, czego dowodem fakt, iż w założonem w r. 1899 towarzystwie tutajszem polskiem jest już około 80 członków.

Przypisać to należy w znacznej mierze dobroczynnemu wpływowi tutajszego proboszcza, Niemca, księdza W. Thiela, który z wielką dobrocią i łagodnością obchodzi się z parafianami polskimi, popiera w nich zamiar wstępowania do towarzystwa, zna historyę polską i interesuje się Polakami.

We wszystkich tych miejscowościach t. j. w Derne, Kourl i Mengede czytaną jest „Praca“ i „Czytelnia Polska.“ Coprawda tylko po 4—6 egz. przychodzi do każdej miejscowości, ale na przyszły kwartał może to będzie lepiej.

R. R.

* * *

Borbeck.

Szanowna Redakcyo!

Westfalia posiada niejedną taką parafią, jak parafia katolicka w Borbeck i Dellwig w powiecie Essen, która liczy przeszło 2 tysiące Polaków. Istnieją też tam dwa towarzystwa polskie, za staraniem których władza duchowna przysłała księdza (Niemca) mówiącego trochę po polsku, tak iż obecnie co 2 tygodnie odbywa się nabożeństwo z polskiem kazaniem.

Istniejące w Borbeck towarzystwo nosi nazwę towarzystwa św. Józefa i istnieje od r. 1891. Liczba członków nie dochodzi wszakże stu. Znacznie później założono towarzystwo św. Barbary. Górników Polaków w samem Borbeck jest 174.

W Dellwig jest samych górników Polaków 305. Od roku 1898 istnieje tu i rozwija się dobrze towarzystwo św. Barbary, liczy ono obecnie przeszło stu członków, niestety jednak niema biblioteki, ale o nią się starają.

Naród tu dość oszczędny i porządny. W sąsiedztwie, w tymże rewirze górniczym (West-Essen) jest Caternberg z towarzystwem św. Stanisława i pokaźną liczbą *1645* górników Polaków.

Z szacunkiem

X.

* * *

Dortmund.

Kochana „Praco!“

W Dortmundzie ogromnie się niemczą Polacy, zatrudniani mianowicie po wielkich fabrykach wyrobów żelaznych. Trudno się z nimi dogadać; bo ani dobrze po polsku, ani po niemiecku nie umieją. Zarabiają po 3—3,50 mrk. dziennie, ale z powodu drożyzny rzadko co mogą odkładać. Po fabrykach praca trwa od 6-tej rano do 8mej wieczór, co druga niedziela jest wolna.

Oprócz pracujących po fabrykach zamieszkuje w Dortmundzie do 700 górników, tak iż kolonią dortmundzką uważać można za jedną z najliczniejszych. Liczbę Polaków wogóle szacować tu można na 4—5 tysięcy.

Kolonia dortmundzka jest też najstarszą.

Już około roku 1870 była tu stosunkowo znaczna liczba Polaków, czego dowodzi założenie towarzystwa „Jedność“ w r. 1876.

Obecnie istnieje tu ogółem 5 towarzystw polskich, z których jedno, mianowicie tow. św. Antoniego jest opanowane przez tendencye niemiecko-katolickie do tego stopnia, że nie uważa żadnej polskiej gazety za swój organ, popiera zaś nieprzyjazny Polakom organ „Tremonia“, gdzie ogłasza swe komunikaty.

Pismo to, które swe szpalty otwiera chętnie wszelkim artykułom atakującym narodowość polską, jest niestety niezmiernie rozpowszechnione pomiędzy Polakami w Dortmundzie.

Opieka duchowna zupełnie niewystarczająca. Żyje tu dotychczas rzewne wspomnienie o kapłanie Polaku, księdzu Józefowskim, który działał wśród dortmundzkiej kolonii polskiej.

Miejmy nadzieję, że ta obojętność, której dowody niestety zbyt często składają Polacy dortmundzcy, zmieni się na lepsze pod wpływem „Pracy“, która tu zyskuje coraz liczniejszych zwolenników

Z szacunkiem i pozdrowieniem
Górnik dortmundzki.

* * *

Hamburg.

Wielmożny Panie Redaktorze!

Wyczytałem w Pracy wezwanie, by posełać korespondencye o polskich towarzystwach rozproszonych na przestrzeni całych Niemiec. Zaraz przyszło mi do głowy, że o Polakach z Hamburga, a szczególnie o tutejszem *Tow. Rękodzielników* trzeba co napisać. Liczni czytelnicy tutejsi „Pracy“, bardzo się ucieczyty. Zeszłego roku kilka ładnych i bardzo stósownych odczytów wygłosił obecny prezes nasz, p. Sokołowski. Na posiedzenia nasze przychodzi też prawie zawsze X. Kurator, miejscowy ksiądz polski. Towarzystwo urządza co roku Jasełka, przyczem rozdaje się elementarze i inne podarki na gwiazdkę tutejszej dziatwie polskiej; w porze letniej urządza wspólną wycieczkę po za miasto, zresztą co roku 3—4 zabaw ze stósownymi odczytami, przemową, albo (teatrem) przedstawieniem łatwiejszych sztuk polskich. Z gazet trzymamy: *„Pracę“*, *„Czytelnię Polską“*, *„Gazetę Grudziądzką“*, *„Katolika z Bytomia“*, *„Niedzielę“ z Detroich z Ameryki Półn.*, *„Gazetę świąteczną“ z Warszawy i (tygodnik illustrowany) „Biesiadę literacką“*. Prócz wymienionych



Poświęcenie sztandarów towarzystw polskich w Kurytybie (Parana — Brazylii)
według fotografii, nadesłanej nam przez prezesa tamtejszego Związku Towarzystw.
(Dziękując za łaskawą pamięć, życzymy z całego serca: „Szczęść Boże!“)

Najbliższa okolica Dortmundu gęsto zaludniona Polakami. W drobnych miejscowościach, jak Ilusen, Wickede, Brackel, Dorstfeld, Asseln, Gahmen, Lindenhorst, Brambauer, Bodelschwingh, Kley, Giesenberg-Sodingen, Holthausen jest ogółem 2,280 samych górników, co wraz z rodzinami ich oraz pracującymi na innem polu przemysłu Polakami około 7 tysięcy wynosi.

Jest to tylko najbliższa okolica Dortmundu, mianowicie miejscowości, w których, z powodu łatwej komunikacyi z Dortmundem, nie istnieją towarzystwa polskie, a Polacy przyjeżdżają na posiedzenia towarzystw do Dortmundu.

Oprócz tow. św. Antoniego jest tow. *„Jedność“*, jak się zdaje, najstarsze we Westfalii, założono je bowiem w r. 1876, gdy zaledwie w początkach było wychodźtwo polskie.

Dalej — towarzystwo przemysłowców, które dziś liczy zaledwie 25 członków, tow. św. Wojciecha i koło śpiewu „Lutnia“ z dziwnie małą liczbą członków, jak na Dortmund, liczy ich bowiem tylko 20.

szą z tego, a może z uwag podanych i ktoś korzyść odniesie.

Towarzystwo polsko-katolickie Rękodzielników zostało założone na wiosnę roku 1894. Wciągu 6-letniego swego istnienia, różne przechodziło koleje. Był czas, że tow. liczyło przeszło 120 członków. Z powodu niesnasek wewnętrznych okazała się potrzeba tow. rozwiązać a zgłaszających się członkow wpisywać na nowo. Od 3 lat tow. nasze powoli, lecz stale się rozwija. Z jego stanu obecnego można być zadowolonym. Liczy obecnie około 140 członków. Niektórzy co prawda na zimę się rozjeżdżają, młodzież szczególnie, gdy się w złe towarzystwa dostanie, na posiedzenia mało kiedy uczęszcza, mimoto na zebraniach naszych sala pełna i na każdem posiedzeniu coraz to nowi członkowie się zgłaszają. Zebrania mamy w porze letniej co drugą niedzielę, od listopada aż do kwietnia włącznie co niedzielę, wkrótce po polskiem nabożeństwie. Na posiedzeniach ktoś z członków odczytuje artykuł z gazety albo z książki, albo też od czasu do czasu oryginalne mamy od-

przynoszą na posiedzenia członkowie inne jeszcze własne gazety, tak, że z jakiego bądź zakątka Polski kto pochodzi, znajdzie u nas gazetkę ze swych stron rodzinnych. *Przeczytane gazety idą dla polskich emigrantów, których co roku przeszło 15.000 przez Hamburg przejeżdża za oceany.* Biblioteka nasza składa się z przeszło 300 tomików i tomów. Książki pochodzą w znacznej części z Tow. Czytelni ludowych z Poznania, inne z darów prywatnych. Około 30 tomów dotąd nieoprawione, leżą w bibliotece.

Chlubą naszą to prześliczny, jedwabny, polską ręką zrobiony sztandar z haftowanym obrazem Najśw. Rodziny. Możemy się pochwalić, że mamy najpiękniejszy sztandar ze wszystkich katol. tow. z Hamburga.

Czytam pilnie gazety polskie i zauważyłem, że korespondenci uskarżają się powszechnie na obojętność współrodaków. Mam wiele powodów, by to samo powiedzieć o członkach tutejszego towarzystwa i o tutejszej Polonii. Łatwo zrozumieć tę obojętność, bo mamy w Hamburgu więcej swobody, a co inni cierpią, nas zawsze

interesuje, ale niedotyka, niesprawia takiej boleści, przykrości, do czynu nie pobudza tak, jak gdybyśmy sami to przechodzili. Rzecz jasna, że ten wzgląd z obojętności naszej nas nieusprawiedliwia. Mimochodem wspomnę tylko o niektórych objawach tej obojętności: pierwszy objaw, za mało się czyta pomiędzy nami, za mało interesu do polskiej książki. Druga próbka tej obojętności: X. kurator tutejszy popiera usilnie śpiew polski, lecz na tygodniowe próby pieśni kościelnych i narodowych ledwo mała garstka uczęszcza. Prawda, że Polacy tutejsi rozrzuceni po całem mieście, że każdy po pracy potrzebuje spoczynku, ale przy dobrej woli dałoby się wszystko zrobić.

Trzeci jeszcze objaw: Postawiono w towarzystwie wniosek, by założyć własną kasę wsparcia na wypadek śmierci członka, żony lub dziecka. Korzyść widoczna, mimo to sprawa idzie bardzo trudno.

Po za tą obojętnością wiele dobrego da się powiedzieć o Polonii tutejszej. Te pochwały odnoszą się i do członków towarzystwa, o którem dziś piszę, i do Polaków poza towarzystwem. Przedewszystkiem co roku bardzo wielu Polaków nietylko takich, którzy tam żony pozostawili, ale rodzin z dziećmi z groszem skrzętnie oszczędzonym i doświadczeniem wraca w strony rodzinne. Co ich skłania do tego? Tęsknota za ojczystemi stronami, przedewszystkiem troska o dzieci (wyraźnie to zaznaczają), by się niezepsuły, by się nie zniemczyły. To bardzo dobry objaw. Jaki duch panuje pomiędzy członkami tow., niech okaże następujące zdarzenie: Na posiedzeniu urządziliśmy raz dysputę na temat, co się stanie z Polakami z pod zaboru pruskiego za lat 50? Ani słyszeć niechcieli, by Polacy mieli się zniemczyć. Jeszcze jeden objaw dodatni: w wielu rodzinach, które od kilkunastu lat mieszkają w Hamburgu, jakby drogie relikwie przechowują poświęcaną kredę, gromnicę, nawet święconą wodę ze stron rodzinnych. Gdyby młodsze pokolenie zachowało takie zamiłowanie tego, co ojczyste, polskie, moglibyśmy drwić z usiłowań germanizacyjnych. Jaką będzie ta młodzież nasza, to od nas zależy. W szkole muszą dzieci rozmawiać po niemiecku, ale w domu z rodziną powinny mówić tylko po polsku. Niedawno spotkałem rodzinę, gdzie ojciec umiał tyle po niemiecku, że z biedą dawał sobie radę przy pracy, matka nieumiała prawie nic, a dzieci (choć nie do uwierzenia, ale szczera prawda) tylko po niemiecku. Własna matka nie może się porozumieć ze swojemi dziećmi. Jakiż skutek takiego wychowania? Chłopiec 7 letni tygodniami całemi uciekał ze szkoły, że ani nauczyciel, ani rodzice rady sobie z nim dać niemogli. Trzeba go było dać do szkoły poprawczej. Że tam w zakładzie luterskim się nie poprawi, za to ręczę. Znam bardzo wiele polskich rodzin w Hamburgu, a jedną jedyną znalazłem, gdzie polskie dzieci w duchu niemieckim wychowane dobrze się dotąd prowadzą, a reszta? Dziewczęta, ledwo im 15, 16, lat minie uciekają od rodziców, mieszkają u obcych ludzi, aby swobodnie mogły broić. Jeżeli nawet zostanie przy matce, zamiast być jej dzieckiem, jest jej katem, który nieszczęśliwej matce życie zatruwa. Co się dzieje z młodzieńcami, którzy w duchu niemieckim tu się wychowali, ach to my wszyscy wiemy, bo codziennie na to patrzymy, lepiej się o tem nie rozpisywać, bo serce niezmiernie boli, gdy się wspomni, co z tej młodzieży mogłoby być, gdyby się ją inaczej, rozumnie, prowadziło, a co się teraz stało.

„Kiedy dzieci choć rozumią, niechcą mówić po polsku“ tłumaczą się zwykle tacy rodzice. Co? dzieci niechcą? Czyjaż wola ma być w domu, dzieci czy rodziców? A sąsiedzi Wasi mogą prowadzić i wychowywać dzieci po polsku, tamte chcą mówić po polsku, tylko wasze niechcą? Wasza wina, bo nieumiecie dzieci prowadzić, ale też wasza będzie pokuta i odpowiedzialność. Dla szczęścia waszego własnego i dzieci waszych, Rodacy, wychowujcie dzieci wasze po polsku.

Z głębokim szacunkiem

M. W.

Z TYGODNIA.

Wiadomo powszechnie, że nie tak dawno jeszcze „grenzlosen Pläne“ — bezgraniczne plany — zniecierpliwiły parlament niemiecki i wywołały ostrą opozycyę. Tymczasem, jeżeli gdzie szukać należy takich planów nieograniczonych, to w sferze hakatystów. Idą one tak daleko, że wywołują opozycyę nawet we własnym obozie. Tak np. świeże projekty entuzyastów hakatystycznych wywołały zniecierpliwienie w samej „Kreuzztng“, która jednak lada czem w danej kwestyi nie da się zniecierpliwić. Otóż entuzyaści hakatystyczni w zastosowaniu do „wschodnich kresów“ podyktowali następujące „pia desideria“:

„1) Rozszerzenie i dalsze ukształtowanie ustawy o języku urzędowym z 28 sierpnia 1876 r., przez przepis ustawodawczy, według którego na wszystkich publicznych zebraniach i w towarzystwach, w publicznem życiu (napisy na tramwajach, handlach i szyldach kupieckich itp.), w statutach i protokółach wszystkich banków, spółek i tym podobnych instytucyi, wolno używać tylko niemieckiego języka. 2) Wydanie osobnej ustawy o polskich towarzystwach. 3) Zniesienie nadobowiązkowej nauki języka polskiego w wyższych szkołach. 4) Udzielanie nauki religii w niemieckim języku także w najniższym oddziale szkoły ludowej i zniesienie nauki polskiego czytania i pisania, o ile ona jeszcze istnieje w szkole ludowej. 5) Wykluczenie Polaków z posad urzędników w mieszanych pod względem językowym dzielnicach. 6) Zmiana ustawy prasowej w tym kierunku, aby wszystkie pisma i gazety polityczne, które nie wychodzą w języku niemieckim, miały obok polskiego tekst niemiecki“.

Ten nowy „bzik“ pruski zasłużył na nowego klapsa w „Kreuzztg“. Pisze ona mianowicie, iż mimo całej sympatyi dla ogólnych celów towarzystwa dla kresów wschodnich, przedstawiających się jej idealnie, nie może stłumić zarzutów przeciw wszystkim niemal żądaniom związku HKT. Podnosi ona, że tam, „gdzie socyalni demokraci i anarchiści głosić mogą bezkarnie podburzające mowy, nie jest właściwem występowanie przeciwko polskiej narodowości i polskiemu językowi w duchu wymienionych punktów“.

Z wyczerpującym artykułem wystąpiła katolicka „Germania“ przeciw najnowszym zachciankom hakatystów. „Gdy się czyta coś podobnego — pisze „Germania“ — zdaje się, jakobyśmy się przenieśli w czasy przedhistoryczne i doprawdy zdumiewać się trzeba, że ludzie, którzy słowo: „niemiecka kultura i niemiecki obyczaj“ ciągle mają na ustach, nie posiadają innego pragnienia, krom tego, aby jak najprędzej rządzić i być rządzonymi bez kultury i bez obyczaju“. Rządowi zaś przypomina przy tej sposobności organ katolików niemieckich, że przez jego rozporządzenia w ostatnich latach hakatyści tak bardzo porośli w pierze, że obecnie atakują sam rząd. Ataki ich są tak śmiałe, że sięgają na kanclerza, a nawet i koronę. Tego się doczekali samochcąc szowiniści niemieccy w łonie rządu.

W kwestyi kanałowej, jak donoszą z Berlina, przyszło podobno między rządem a konserwatystami do zgody i porozumienia. Koszta kanału środkowego obliczono na 358 milionów marek, które mają być rozdzielone na 10—15 lat. Kanclerz hr. Bülow z ministrem dr. Miquelem zrobili już swoje, aby kanał przeprowadzić. Panuje co do tego zupełna zgoda pomiędzy hr. Bülowem a dr. Miquelem, ale nietylko pomiędzy dwoma tymi pierwszymi ministrami, lecz porozumieli się oni także z konserwatystami i to w tem rozumieniu, że konserwatyści zgodzą się na kanał. Na oko będą go niby zwalczali, żeby ich wyborcy nie robili im zarzutów, lecz uczynią to w bardzo łagodny sposób.

W gruncie jednak rzeczy, po krótkim targu, zgodzą się na kanał, w to zaś miejsce zapewnili już sobie podobno, że przy zawieraniu nowych układów handlowych dostaną wysokie cła na zboże. Informacya ta ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

W Rzymie panuje powszechne zdumienie z powodu wstąpienia senatora Fiscali w skład gabinetu Saracca. Nie wzmocniło ono ministeryum ani na włos. Jest to chwilowe tylko poratowanie się od biedy, następstwo odmowy Sonnina. On zaś dlatego tylko nie zdecydował się objąć portfelu skarbu, ponieważ na-

leży do wróżbitów, przepowiadających rychły upadek gabinetu Saracca. Jest też bardzo prawdopodobne, że ów gabinet nie przeżyje otwarcia izby lub co najwyżej przeżyje o tyle tylko, aby paść trupem od pierwszego strzału, jaki się zwróci przeciw niemu. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Poznańskie pisma polskie donoszą jednozgodnie, że poczta nie przyjmuje i odsyła po polsku adresowane przesyłki i listy, domagając się nawet tytulatury niemieckiej. Właściwie regressu za szkody poniesione przy przesyłkach wielu, np. pieniężnych i zamówień trzebaby szukać u poczty we wszystkich pojedyńczych przypadkach, gdyż, jeśli wyszło rozporządzenie takie, poczta była winna je urzędowo przedtem ogłosić.

Nie powtarzamy całego oburzenia prasy polskiej, gdyż jest ono zupełnie naturalnem. Z pism niemieckich „Germania" nie przypuszcza nawet możliwości takiego rozporządzenia, gdyż, jak słusznie pisze, poczta państwa niemieckiego nie jest żadną władzą polityczną, tylko władzą do ułatwienia komunikacyi, która zatem pruskiemu rządowi do antypolskiej polityki nie może służyć za narzędzie.

W tej sprawie pisze **„Kuryer Poznański"** pod adresem „Do panów posłów naszych" co następuje:

„W obec rozdrażnienia, jakie ten krok poczty w całem społeczeństwie wywołał, uważalibyśmy odraczanie tej sprawy choćby na kilka dni za wielki błąd, oraz krzywdę w obec wyborców. Jesteśmy też przekonani, iż posłowie wszyscy stawią się bezzwłocznie do Berlina, by uchwalić wniosek, izby p. Podbielski cofnął to rozporządzenie, które ogólnie uważają za wynik polityki miejscowych władz na własną rękę. Sądzimy, że nawet wniosek wprost postawiony zabezpieczający publiczność wogóle przed możliwemi krzywdami tego rodzaju jako sprawa czysto ogólnego interesu nawet cywilizacyjnego i międzynarodowego przez cały parlament będzie przyjętym.

„Kanclerz hr. Bülow dostatecznie ma bystry umysł, aby od razu poznać, jakie konsekwencye mogłoby pociągnąć, gdyby inne państwa miały ten przykład poznańskiej poczty naśladować."

My się na te słowa „Kuryera Poznańskiego" zgadzamy najzupełniej."

Wiec w Kowalewie, w Prusach Zachodnich, w sprawie obrony języka polskiego odbył się w ubiegłą niedzielę pod przewodnictwem p. Cichockiego z Pluskowęs.

Pierwszym mówcą był redaktor p. Dyonizy Królikowski z Torunia, który przedstawił stan dzisiejszej szkoły pruskiej, wykazując, że nie spełnia ona swego zadania wobec ludności polskiej, gdyż nie uwzględnia języka polskiego. Wobec tego dowodził mówca, że dom rodzicielski powinien dziatwie zastąpić szkołę, że rodzice powinni uczyć dziatki swoje polskiego czytania i pisania, polskiego katechizmu, polskiego śpiewu i historyi polskiej. Praktyczne wskazówki, jak uczyć, aby nauka była skuteczna, aby dziatki jak największe miały korzyści, dopełniły pożytecznego wykładu.

Drugim głównym mówcą był p. Jan Brejski z Torunia.

„Goniec Wielkopolski" tak streszcza jego mowę:

„Mówca przedstawił obraz spustoszenia, jakie stuletnie panowanie Niemców sprawiło wśród Polaków zaboru pruskiego, a mianowicie w Prusiech Zachodnich, skrytykował kolonizacyą, postępowanie urzędników itd. itd. Wszystko to zmierza do wytępienia mowy polskiej, a ponieważ z niemczyzną szerzy się protestantyzm, przeto zagrożony jest także katolicyzm w tych stronach. Ma tu być jedna mowa niemiecka i jedna wiara tj. luterska. Aby do tego nie dopuścić, należy się bronić, na co mamy posłów, gazety, towarzystwa, a najskuteczniejszymi obrońcami przed germanizacyą są ojcowie i matki. Przeciw krzywdom należy protestować, ale nie słowami, tylko czynem.

„Im bardziej wypierają nasz język, ścigają i konfiskują elementarze i katechizmy polskie, im więcej fałszów prawią dzieciom o Polsce, im energiczniej zabraniają śpiewu pieśni polskich, prześladują towarzystwa i usiłują zgnieść gazety polskie, im bardziej starają się obrzydzić nam język polski i upośledzić kościół — tym gorliwiej kochać powinni Polacy to, co jest nasze, tym gorliwiej spełniać obowiązki religijne i narodowe. Na wezwanie mówcy, aby obecni do tej obrony zobowiązali się uroczystem przyrzeczeniem, wiecownicy z zapałem odpowiedzieli: „przyrzekamy."

Oprócz wspomnianych dwóch głównych mówców przemawiali, poruszając rozmaite sprawy, pp. Gasiński z Borku, Grabowski z Elgiszewa, Borowicz z Kowalewa, Cichowski ze Srebrnik, Sarnowski z Borku, Gaczewski z Kowalewa, Krasiński z Frydrychowa, Lewandowski ze Skarbnik, Kowalski z Wystrucia i inni.

O obowiązkach obrony pięknie przemówił ks. Bolt ze Srebrnik nawołując do obrony i wskazując drogi, jakiemi do celu dążyć należy.

Nie mniej gorącem było przemówienie p. Kulerskiego z Grudziądza streszczające się w słowach, że kto polskość zdradza ten i wiarę zdradza.

Całość sprawiała podniosłe wrażenie.

Odkąd szowiniści pruscy odkryli straszne niebezpieczeństwo zagrażające pruskiemu *„Vaterlandowi"* ze strony Polaków, nie ustają w ich prasie ciągłe zarzuty przeciwko nam. Jednym z okrzyków bojowniczych gremium hakatystycznego jest rzekomo grożące niebezpieczeństwo przez zalew robotniczej ludności emigracyjnej, która za chlebem dąży w głąb Niemiec i tam się usadawia w okręgu przemysłowym westfalskim. Niemieccy hakatystyczni patryoci okrzyczeli już fakt ten za niebezpieczeństwo polityczne spolszczenia całych prowincyi niemieckich.

Germanizacya Polaków, którą hakatyści uważają za państwową konieczność i warunek bezpieczeństwa Niemiec, doprowadziła „Związek wszechniemiecki" do bacznego rozpatrzenia się w sytuacyi, wytworzonej przez immigracyę Polaków do Westfalii. Owocem tego rozpatrywania się w położeniu jest wydana przez filię związku wszechniemieckiego statystyka. Na razie zadowolimy się przytoczeniem wniosków, do jakich doszedł „Związek wszechniemiecki."

Pisze o tem warszawska **„Gazeta Polska"**:

„Związek wyraża przekonanie, że nie należy obawiać się, aby język i rasa polska miały rozszerzyć się w okręgu nadreńskim, i żeby ludność niemiecka i całe okręgi mogły uledz polonizacyi. Nie należy też tamować napływu Polaków do Niemiec środkowych, gdyż bardzo jest prawdopodobne, że można będzie zniemczyć ich szybciej, niż Polaków, pozostających na wschodzie. W tym celu Związek radzi zastosować środki następujące:

1) Należy tamować niechęć, jaką mają Niemcy w okręgu przemysłowym do Polaków. Nietrzeba odpychać Polaków i Mazurów, szydzić z nich i obrażać ich nazwą „Polacken". Przeciwnie, należy okazywać im przychylność i ułatwiać im przystępowania do towarzystw niemieckich. 2) Należy ułatwiać Polakom niemczenie nazwisk. Powinno wystarczyć proste doniesienie o zmianie nazwiska do sądu okręgowego. Koszta powinien ponosić rząd. 3) Trzeba zakazać zupełnie sprowadzanie robotników polskich z Galicyi i Królestwa Polskiego do okręgów przemysłowych. 4) Prasa polska w okręgu przemysłowym musi być surowo nadzorowana. Trzeba ją zmusić do drukowania tekstu niemieckiego obok polskiego. Pisma zagraniczne winny mieć wstęp wzbroniony. 5) Na wszystkich zebraniach obrady muszą toczyć się w języku niemieckim. W razie potrzeby należy wydać osobne prawo o języku obrad. Dzieciom szkolnym należy zabronić udziału w tych zebraniach, wygłaszanie wierszy polskich itd. 6) Towarzystwa polskie powinny być nadal dozorowane, urządzenie „demonstracyi", jak np. umieszczanie polskich napisów firmowych, zakazane. 7) Należy ordynacyę górniczo-policyjną, istniejącą w Dortmundzie, rozciągnąć na wszystkie gałęzie przemysłu. Według tej ordynacyi, nie wolno zatrudniać robotników nie umiejących płynnie mówić i czytać po niemiecku, na miejscach niebezpiecznych, a nieumiejących wcale mówić, nie wolno zatrudniać wogóle. Wszelkie władze powinny donosić władzy nadzorczej o każdym wypadku, w którym robotnik wyparł się znajomości języka niemieckiego. 8) Agitatorów polskich należy nie zatrudniać i wydalać. 9) Aby ułatwić jednolite traktowanie Polaków, trzeba z okręgu węglowego i żelaznego utworzyć jeden okręg administracyjny. 10) Język polski powinien być zakazany zarówno we wszystkich szkołach, publicznych czy prywatnych, jak i przy nauce przygotowawczej do św. Sakramentów. 11) Polskie duszpasterstwo trzeba ograniczyć, a z czasem znieść zupełnie.

„Są to propozycye, godne „Związku wszechniemieckiego" — prawdziwie barbarzyńskie. Jeżeli jednak Związek mniema, że za pomocą tych środków zdoła zniemczyć wychodźców polskich, to jest bardzo naiwny. Dwie pierwsze propozycye mogłyby być skuteczne, gdyby oprócz tych dwóch nie było 9-ciu innych. Skut-

kiem ich przeprowadzenia, mogłaby być jeszcze większa niechęć do Niemców i tem silniejsze zwarcie się wychodźców polskich. Z drugiej zaś strony liczba wychodźców zmalałaby ogromnie, z wielką stratą kopalń i przedsiębiorstw przemysłowych, które nie mają dostatecznej liczby robotników miejscowych. Hakatyści pozbyliby się strachu przed polonizacyą ziem rdzennie niemieckich, i powinniby cieszyć się z takiego obrotu rzeczy. Społeczeństwo polskie, dla którego wychodźtwo jest klęską, cieszyłoby się zapewno".

Ale to właśnie charakteryzuje antypolskich polityków niemieckich, że krzyczą oni w niebogłosy na ratunek, gdy patrzą na wychodźtwo polskie, a jednak pobyt w kraju starają nam się utrudnić i uprzykrzyć podług znanej zasady: *man muss dem polnischen Volke den Boden unter den Füssen heiss machen.* Więc gdzież się mamy podziać gdybyśmy chcieli dogodzić politykom niemieckim?

B. M.

Modlitwa.

Pokorni duchem, wielbimy Cię Panie,
Bo wznosisz korne, a strącasz chełpliwe;
Ufni w Twą łaskę, na Twe królowanie
Czekamy — Ojcze! daj czasy szczęśliwe!

Znawco serc! Ty wiesz, Boże wiekuisty,
Że nie pragniemy chwil szczęścia bez troski,
Ni bez walk wieńca — a żywot ciernisty
Przyjmiem z Twej ręki, czcząc Twój wyrok [Boski.

Szczęścia ziemskiego zdeptamy uciechy,
Zaprzem się serca w młodych serc zaranie,
Krwi nie poskąpim i za dawne grzechy
Życiem odpłacim, gdy Twa wola, Panie!

Bo dla nas szczęściem największem na ziemi
Według Twej woli żyć w bratniej miłości,
W łasce Twej czuć się synami Twoimi,
Tryumf Twój widzieć nad duchem ciemności.

Ale my słabi, Tyś światłość, potęga —
To stwórz w nas serce, co twych natchnień [słucha;
Daj wzrok, co w górę po Twą piękność sięga —
Panie! od strasznej zbaw nas śmierci ducha.

O! bo my wierzym, że twa ręka, Boże,
Opatrzne rządy ponad światem trzyma,
Że żadna z myśli Twych zginąć nie może,
Choć pognębiona maczugą Kaina.

I ufność mamy, że z wolą Twą, Panie,
Ojczyzna nasza z letargu powstanie,
Że ten krzyż ciężki to hartownia cnoty,
Z której wyjdziemy odziani w blask złoty.

I z tego ognia czyścowego, Boże.
Gdzie ręka wroga domierza Twej kary,
Ze łzami bolu, lecz w ducha pokorze
Serc miłujących składamy ofiary.

Ty jednak próby dni skróć dzieciom Twoim,
By duch w rozpaczy nie zaginął toni;
Bo choć my grzeszni, my przy tobie stoim,
W głębi serc naszych wiecznie głos Twój dzwoni.

Wkoło nas ciemność — to wielu śpi jeszcze,
A wrogi w czarta służbie hasło dzierżą:
Nas ze snu zbudzą łaski Twojej dreszcze —
A Ty strąć dumnych, co się z Tobą mierzą.

A nim zabłyśnie wieczny dzień na ziemi,
Niebo wcielone, gdy w prawdzie i w duchu
Wielbić Cię będzie Wszechtwór i bratniemi
Dłońmi się złączą ludy w dziejów ruchu:

Boże! ty darmo chrzcij nas ducha darem,
Dozwól Twym dzieciom dla sił pokrzepienia
W natchnieniu westchnąć przedniebnych chwil [czarem,
Jako trzem Uczniom w chwili Przemienienia.

Wincenty Stroka.

Z legend o Matce Boskiej.

(Do illustracyi albumowej)

Kiedy Pan Jezus chodził po wszemświecie i prawdy uczył ludzi w Nazarecie i swą naukę Zbawicielską głosił, skowronek Matce stęsknionej od Syna codziennie wieści do chaty przynosił, by spokój miała Jej dusza matczyna.

Kiedy samotna płakała w swym smutku, on Ją piosenką pocieszał w ogródku i przed Chrystusa do domu powrotem co tchu przylatał, by oznajmić o tem, że nauczania dziś skończona praca i ćwierkał:

— Pani, łzy otrzyj, — syn wraca!...

A na Golgocie, gdy świat struchlał cały, że Bóg na krzyżu kona umęczony, do świętej skroni wzniósł się ptaszek mały, by odjąć kolec z cierniowej korony i chociaż tyle ulżyć Pańskiej męce, aby krwi kroplę mniej Chrystus uronił.

Wzleciał nad krzyżem i krążył w błękicie i smutną piosnkę nad Golgotą dzwonił, że Bóg za ludzkość oddał swoje życie...

Płakało ptaszę nad Chrystusa głową, że dźwigać musi koronę cierniową i że prawdy tryumf — ludzkie dłonie kolcami Jego uwieńczyły skronie.

* * *

Boga-Rodzica, maluczkich Patronka wzięła do nieba świadka swojej troski.

U stóp Jej tronu miejsce dla skowronka i jest śpiewakiem odtąd Matki Boskiej.

Ona swojego wiernego pieśniarza trzyma w opiece i łaską obdarza, a kto ptaszynie Jej krzywdę wyrządzi, tego Bóg karze i surowo sądzi.

Sama Przeczysta jego gniazda strzeże, i od napaści własną chroni dłonią, pod swój błękitny płaszcz skowronka bierze, pod płaszcz gwiazdami świecący jasnemi i gwiazdką jego nakrywa przy ziemi — a wroga, co jej ptaszynę zaczepia, razi światłością i blaskiem oślepia.

Przy tronie Panny co wieczór i rano na „Anioł Pański" ptaszę pieśni śpiewa, a chociaż dzwony ziemskie bić przestaną, on w swoją piosnkę całą duszę wlewa i w tym śpiewaczym tak tonie zachwycie, jak gdyby pieśnią tylko było życie.

A Matka Boska z zadumą na twarzy słucha śpiewaka swojego i marzy...

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj Jej o ziemi, którą do pracy budzisz tony swemi i o oraczach, co w tę rolę czarną, w znoju i trudzie zasiewają ziarno, serdecznym głosem nucąc pieśń poranną:

— Błogosławionaś Maryjo Panno!...

Maryan Gawalewicz.

Socyalista.

(Obrazek z życia wychodźców).

— Wawrzynie, poczekajno, chleb zostawiłeś!

— Dalipan! prawda. Oj, były by mi znowu kiszki wyły, jak psy przy muzyce. Dobrze, żeś spostrzegła, Maryniu!

— No, niech ci tam dobrze idzie! Dobra noc!

— Dobra noc, Maryniu.

Wawrzyn wyszedł na ulicę i biegnął spiesznym krokiem ku kopalni. Gawędzili z starym Piotrem o tem i owem, aż tu by wnet był się zapóźnił na nocną pracę. Ale, bo też ten stary Piotr jak zacznie opowiadać, to jakby ksiądz z ambony. Dziś wspominał, jak to z dziedzicem poszli na powstanie, jak ich w końcu Prusacy złapali i do ciupy wsadzili. Potem się rozgadał o błędnych ognikach, o upiorach i o słomianym chłopie, aż w końcu Marynia ojca prosiła, by zaprzestał, bo, powiada, nie dobrze przed nocną porą licha wspominać.

Ej, ta Marynia, dobra to i poczciwa dziewucha, jakiej na obczyźnie drugiej szukać. Nie chodzi jak inne z palonemi włosami, upomadowana i strojna jak lala, ale skromnie i chędogo, jak się przystoi na córkę górnika. Od dziecińśtwa już jest na obczyźnie, a przecież nie mówi po szwabsku, choć w szkole się dobrze nauczyła. Przytem zawsze taka robotna i wesoła i przyjemna.

Wawrzyn podkręcił wąsiki i w zadumaniu spieszył dalej. Ot, widzi ją, jak z światłem w jednem, z paczką chleba w drugiem ręku stoi nad schodami, gibka jak trzcina, prosta i smukła jak topola, a rumiana, a uśmiechnięta, jak ten aniołek, co tam w rodzinnej wiosce wisi nad ołtarzem w kościele.

Inna by się nie troszczyła o to, czy o chlebie zapomniał, czy nie, albo co najmniej od Zapominalskiego by zaczęła szkalić, ale Marynia nie taka, zawsze ma dla każdego dobre słówko. Oj, dobrze to, że do takiej rodziny dostał się na stancyą.

Nie może inaczej być, jeno się staremu Piotrowi pokłonię i Marynię zaślubię. Grosiwa już się sporo zaoszczędziło, a gdy człek będzie zdrowy, jak dotąd, przysporzy się z czasem jeszcze więcej. Zostaniemy jeszcze przez jakiś czas w tej czarnej obczyźnie, a potem drała do swoich. Kupię gospodarstwo od Bartka, rymarza, ojca i matkę Maryni wezmę do siebie i będziem biedę klepali, jak Bóg da! —

Myśl ta wydawała mu się tak przednią, że zagwizdał sobie wesoło ulubioną piosnkę Maryni:

A w niedzielę rano
Grabił dudek siano. —

Zbliżał się już ku domowi nadsztygara, gdy z maszynowni zagwizdano na dziesiątą. Spieszył więc coraz bardziej do wielkich wrót, prowadzących na dziedziniec kopalni.

W tem coś przed nim zamajaczyło i zdawało mu się, jakoby jacyś ludzie się zaczaili w ogrodzie nadsztygara.

Nie uszedł dziesięciu kroków, gdy w ogrodzie rozległ się gniewny głos nadsztygara przerywany klątwą i kłótnią kilku chłopów niemieckich, widocznie robotników.

Wawrzyn stanął przy płocie i nadsłuchiwał. Urzędnik coraz bardziej się unosił, a groźby i klątwy się wzmagały.

— Wnijdę, czy co? — pomyślał sobie Wawrzyn i ścisnął w pięści trzon potężnego młota do roztrzaskiwania głazów podziemnych służącego.

— Lepiej nie wtykaj nosa — zaszumiało mu jeszcze w głowie i już chciał odejść, gdy usłyszał groźbę wykrzykniętą z chłopska, po niemiecku: Eck scheit di öwern hopen wie'n rühr!

— Zastrzelę cię jak psa!

— Pioruny niech zatrzasną tych socyalistów — zaklął teraz z swej strony Wawrzyn, wrota rozepchnął i wpadł jak huragan w ogród. Tam, o trzydzieści kroków bielą się jakieś kaszkiety, ponad niemi wysoki kapelusz nadsztygara.

Krew słowiańska zakipiała, siła się rozbudziła — Wawrzyn wywijał młotem aż powietrze zawarczało — jeszcze trzy — jeszcze dwa susy a rozbryzgnie się mózg tych napastników!

Na pierwsze krzyknienie Wawrzyna tak napastnicy jak i sztygar oniemieli; pierwsi tuszyli, że to na pomoc idą urzędnikowi, drugi, że to towarzysz jaki rozbójników.

W ogólnem zamieszaniu sztygar pierwszy oprzytomniał; wyrwał najbliżej stojącemu rewolwer z ręki, a widząc, że nadbiegający młot podnosi do śmiertelnego uderzenia, wypalił mu wprost w piersi. Nim zdążył wymierzyć po raz drugi, jeden z napastników ugodził go kijem w głowę tak, iż runął jak nieżywy na ziemię; poczem zgraja rozpierzchnęła się na wszystkie wiatry.

Na huk wystrzału zlecieli się mieszkańcy poblizkich domów jako i urzędnicy z biur kopalni; ocucili sztygara a „polskie padło“ wrzucili w stajnię, by je ztamtąd policya zawiozła do lazaretu na salę obdukcyjną.

— — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień niemieckie gazety z prawdziwą rozkoszą rozpisywały się o napadzie socyalistów na nadsztygara. Ponieważ zaś zastrzelony wykazał się Polakiem, więc niezawodnie i towarzysze tylko udawali Niemców, a byli w rzeczywistości „przybłędami ze wschodu!“

Za trzy dni pochowano Wawrzyna. Nikt na grobie „socyalisty“ łezki nie uronił, tylko Marynia jakoś posmutniała a na wywody starego Piotra, że cała sprawa zbyt jasną, by można o winie Wawrzyna wątpić, ciągle powtarzała:

— Nie wierzę, tatusiu, nie wierzę!

Braliński.



Na pobojowisku.

(Do illustracyi.)

W około warczą piorunne dział grzmoty,
Rażą mię błysków szalone przeloty,
Bojów zarządzco! ja wzywam Cię:
Ojcze! Ty prowadź mię!

Pod Twe rozkazy jam się oddał cały,
Do chlubnej śmierci, do zwycięztwa chwały
Niech Twa wola prowadzi mię;
Boże! ja wielbię Cię!

I w lichej trawce, co ją wiatr kołysze,
I w bitwy wrzawie, wszędy Ciebie słyszę.
I źródłem łaski nazywam Cię;
Ojcze! błogosław mię!

Twojej opiece oddaję się żwawo;
Tyś mi dał życie, Ty je wziąść masz prawo.
Na śmierć lub życie błogosław mię,
Boże! ja sławię cię!

Nie, aby laurem uwieńczyć swe skronie,
Lecz w ognisk własnych walczymy obronie;
Więc w śmierci nawet wysławiam Cię,
Tobie oddaję się!

Gdy z ran krwi mojej popłyną strumienie,
Kiedy już śmierci okryją mię cienie,
W Twe ręce Boże oddaję się,
Ojcze wysłuchaj mię.

A. Ol...

WRÓŻKA.

Prolog napisany ku czci Adama Mickiewicza

przez **Dr. Dyonizego Karchowskiego.**

(W głębi zasłona, przed nią strumyk i Boża Męka, Ku przodowi sceny waga, kołowrotek z przędzą, ogień, kłębek nici i t. p. symbole wróżbiarskie).

SCENA I.

Bogini wróżby i trzy świtezianki.

Wróżka.

(pokrzątawszy się nieco około wagi, kołowrotka i t. d.)

A teraz słucham opowieści waszych.
Cóż za nowiny z nieszczęsnych niw laszych?
Grzechy zrównane na pokutnej szali?
Mówcie! Wywróżę Lachom z szmeru fali,
Z lotu jaskółki ścigłej i z ognia płomieni
I z przędzy biegu, z jasnych gwiazd promieni,
Z kłębka wysnuję przepowiedni wątek,
Gdzie kres ich cierpień — gdzie szczęścia początek.

Świtezianka pierwsza.

Przebiegłam kraj, jak lotny wiatr
Od Dniepru fal do szczytów Tatr;
Noc błonie mi powleka mgłą
I cicho szare chmury mkną.
Wtem armat ryk
I matek krzyk,
Oręża szczęk
I dzieci jęk.
I krwawo zapłonął szary całun chmur,
A echem złowrogiem wśród rozpadlin gór,
Zgrzytając, chichocząc zabrzmiał piekieł chór:
„Ha, ha, ha, ha! A gdzież wasz Bóg?
„Ha, ha, ha, ha! Wszechmocny wróg?“
I smyrgłam ze strachu do was jak wiatr,
I echo mię gnało hen, hen — z szczytów Tatr.

Wróżka.

(uroczyście)

Zamilknie szyderstwo i chichot szatański,
Wszechmocy już w dali brzmi hejnał niebiański!
(ciszej) Po nocy *ciemnej* jasny świt!
Cyt, cyt!

Świtezianka druga.

A teraz posłuchajcie mnie!
Gdym nad Wisełką w białej mgle
Spłynęła na ruń z podniebiańskich stref,
Miast rosy w koło mnie perliła się krew;
A u mych stóp,
Gdzie stąpnę — trup!
Frunęłam w trwodze do Wisły fal,
Chcąc obmyć się ze krwi i pomknąć w dal!
A gdy się miesiąc w jej nurtach skrzy,
Dojrzałam same smugi krwi.
Skronie me zimny oblał pot.
Wtem naraz słyszę strzałów grzmot,
Tysiącznych kajdan słyszę brzęk,
Niewieści płacz, niemowląt jęk,
Piekielny śmiech, szatański zgrzyt —
I gore kraj pod niebios szczyt!
Wciąż bliżej brzmi oręża trzask,
I bliżej, bliżej dziki wrzask:
„Hej szablą siecz, bagnetem wierć,
„Niech wszystkich, wszystkich porwie śmierć!
„Nie puszczaj z ostrza póki drga,
Mordować wszystko, co się da!
„Wal kolbą, wal!
„W łeb kulą pal!
„Kto żyw zostanie, sto pałek mu daj,
„Łańcuchem powiązać i na świata skraj —
„Na śniegi sybirskie popędzić hen, hen!
„Niech ich tam śmiertelny ucałuje sen!
„Gnać raźno przez stepy w bezkrańcową dal,
„A kto iść nie zechce, tego wbić na pal!“
I taki mnie ogarnął żal,
Na widok jak tam ludziom źle,
Żem cała rozpłynęła w mgle.

Wróżka.

Sam Bóg ich ukarze za grozy piekielne,
Wybawi od gwałtów co prawe, co dzielne!
Po nocy *ciemnej jasny* świt!
Cyt, cyt!

Świtezianka trzecia.

Sęp czarny wkradł się do orlich gniazd-
I ten przybysz z obcych stron
Białe pisklę schwycił w szpon.
Wzbił się nad sioła, nad wieżyce miast!
Pierś orlęcia dziobem rwał
I wprost z serca krew mu ssał!
Zaśmiało się piekło, kazano bić w dzwon
I krzyczano już na zgon!
Jak orła, tak cały Lechitów ród
Krwi pozbawić ma mistrz-głód!

Wróżka.

O nie! tak nie będzie! — W mściwych losów przędzę
Dla sępów rozsnuję głód, pomór i nędzę!
I znów żyć będą, co prawie że zmarli,
I wierzyć, którzy się wiary zaparli!
Wszędzie nadziei porozsiewam kwiaty,
Gdzie czarna rozpacz osiadła przed laty!
I już, już biją żywo serc miliony,
Pieśni ojczyste czystemi brzmią tony,
Znów się dla Lachów srebrzą łany lasze,
Dla nich się świecą gwiazdy, kwili ptaszę,
I dla nich polskie zielenią się gaje,
Zaszumią dęby, zaszemrzą ruczaje...
W przeszłość się cofnie teraźniejszość mglista,
A przyszłość jasna będzie, promienista!
Po nocy ciemnej jasny świt!
Cyt! cyt!

(znikają.)

Gromada złych duchów w moskiewskich czapkach, (które już pod koniec poprzedniej rozmowy się przemykają.)

Zły duch I do II.

Słyszałeś!

Zły duch II do III.

Słyszałeś!

Zły duch III.

Ha, ha, ha!
Niema w tem sensu ani źdźbła!
Lachów rozpaczy, nędzy, łez
Nie zbraknie nigdy — jakem bies!
Dam sto nahajek i tysiąc rózg,
Wyrwę im serca, wypalę mózg!
Nim duch się ocknie, hej, druhy, wprzód
Ich w nastajaszczy przemienim ród!
Cóż? wtedy babski przycichnie wrzask?

Zły duch I do III.
(z ukłonem).

Swiatło mądrości!

Zły duch II.

Niechaj Twój blask
Olśni świat cały, aż po sam kres!
Niech zgaśnie słońce, gdy świeci bies!

Zły duch I do III.

Tak arcymistrzu świeć nam, świeć!
Przed siłą naszą *Bóg* ma drżeć!
A ludów takim będzie los,
Jak nasz potężny każe głos!
Na to żelazną mamy pięść,
By całym, całym światem trzęść!
A gdy nie słucha nas krnąbrny lud,
Zniszczyć go, zdławić, skazać na głód!
A kto nam urąga, że panem jest Bóg,
Za strzechy ojczystej wyrzucić go próg!

Zły duch II do III.

Wspaniała myśl!... Ty światu świeć!

(do I).

Ty pięścią wal, aż będą drżeć!
A ja ich znęcę w złudną sieć!
Tak jak im każę, będą śnić:
Omotam duszę w senną nić,
Odsłonię jej klejnotów blask,
Zaszczytów i dostojnych łask!
Z ułud stobarwnych, ponętnych mar
Zdradliwy dla nich złożę czar,
W ogniki pstre przystroję noc —
I tak ich w naszą zwabię moc!

Zły duch I.

Ha, ha, to iście szatańska gra!

Zły duch II.

Ha, ha, ha!

Zły duch III.

Ha, ha, ha!

Wszyscy razem.

Ha, ha, ha!

(W dali odzywa się zlekka melodya: „Nie opuszczaj nas.“ W przerwach lekki grzmot i silnie się błyska).

Zły duch III.

Cóż to za zgiełk?

Zły duch II.

To pieje kur,
Już blizko świt.

Zły duch I.

To głosy z gór!

Zły duch III.

Cóż to za grzmot?

Zły duch II.

I światłość z chmur?

Zły duch III (z przerażeniem).

Ssst... archanielski schodzi chór!

(uciekają).

SCENA 2.

(W głębi wśród ciemności rozjaśniających się coraz bardziej widać matronę w żałobnej szacie z trzema chłopczykami przed Bożą Męką.

***Matrona** (modląc się).*

Wśród burzy i gromów,
Wciąż nowych wyłomów
Dla dzieci Twych, Panie,
Racz dać zmiłowanie!
Ześlij nam proroka, o ześlij geniusza,
Niech w serce ludu wniknie jego dusza,
Co w bólu własnej ojczyzny poczęta,
Zdoła z nią razem być czysta i święta!
Niech światłem swojem wśród burz i zamieci,
Pochmurne drogi swym braciom rozświeci!
Niech zaklnie w pieśń swą, w pieśni niech skrysztali
Ducha Lechitów, co twardszy od stali,
Silniejszy żarem, niż ogień piekielny,
Ma zostać wiecznie jeden, nieśmiertelny!

(Rozświetla się scena, tylna zasłona się unosi i otoczony archaniołami ukazuje się na cokole żywy obraz Mickiewicza, podczas gdy jeden z aniołów cytuje z Konrada Wallenroda.)

O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem
Ty miewasz czasem i broń archanioła.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Byłem — rzekł Ludwik z rozpaczą.

— Czy sądzisz, że już nie jesteś? Czyś zapomniał, że ja żyję tylko dla ciebie, że masz narzeczoną?...

— Teresa... Czyś ją widział ojcze?

— Widziałem. Przyleciała do mnie dziś rano z matką... Biedaczki spędziły noc okropną. Ale je pocieszyłem... dodałem im otuchy... a przyszło mi to łatwo, bo obie nie wierzą i nie uwierzą nigdy, że jesteś zbrodniarzem... Obiecałem im przywieźć cię dzisiaj do Boulogne... Czekają na ciebie.

Ludwik drgnął i spuścił głowę, aby łzy ukryć.

— Słuchaj! — zawołał staruszek, widząc, ze trafił w czułą strunę. — Panna Lecomte wierzy święcie, że zostaniesz wypuszczony na wolność. Powiedziała mi z uśmiechem: „Tak się ucieszę, gdy go zobaczę, że zapomnę się gniewać, ale on mi musi wytłomaczyć, dlaczego nosił na sercu portret tej kobiety.“

— Ona ci to powiedziała ojcze?

— Tak, i pewien jestem, że łatwo ci przyjdzie uśmierzyć jej zazdrość, bo nie znasz Angielki, zamordowanej przez jakiegoś łotra, tak samo jak nie znasz jegomościa, którego zabito przy ulicy de l'Arbaléte. Przecież nie bywasz u dam z półświatka, ani u rozpustnych kupców, będąc narzeczonym młodej i niewinnej panienki, którą ubóstwiasz. Wszak od trzech miesięcy wszystkie wolne chwile spędzasz w domu jej matki, zdala od hulaszczego Paryża. Nie wiesz może nawet, gdzie jest ulica de l'Arbaléte.

— Teresa nigdy mi nie przebaczy — szepnął Ludwik jakby do siebie.

— Milczysz! — zawołał nieszczęśliwy ojciec. — Więc nie masz litości nade mną... ani nad twoją narzeczoną... Nie widzisz, że mnie doprowadzasz do rozpaczy.

— Bóg czyta w sercach, Bóg mnie osądzi. Powiedziałem już wszystko, co mogłem na moje usprawiedliwienie.

— Więc dowodzisz, że ten portret nie był twoją własnością... że został wsunięty do twojego pugilaresu bez twojej wiedzy?

— Tak.

— Więc po cóżeś chodził do Morgi pod przebraniem?

— Pociągnęła mnie ciekawość niedorzeczna. A że nie chciałem, by mnie poznano w tłumie, więc wziąłem stare ubranie.

— I to być może — oświadczył Lecoq, uderzony stanowczością syna. — Ale te karty... rozłożone na stoliku w twojem mieszkaniu... w miejscu ukrytem...

— To wspomnienie — odpowiedział młodzieniec po chwili namysłu.

— Wspomnienie... Cóż ono znaczy?

— Pamiętasz, ojcze, że w Heidelbergu, jako student zakochałem się w córce doktora teologii. Spędzaliśmy dni całe ze sobą; lubiła kłaść pasyanse i zapytywać się kart, czy się pobierzemy. W dniu, w którym jej oznajmiłem, że wracam do Francyi, zastałem ją nachyloną nad kartami, które jej wróżyły, że żoną moją zostanie... pasyans wyszedł... Prosiła, bym wziął ten zadatek szczęścia i kazała mi przysiądz, że w mojem mieszkaniu, w Paryżu, ułożę te karty w tym samym porządku i że leżeć tam będą dopóty, dopóki mój ojciec nie zezwoli na nasze małżeństwo. Byłem jeszcze zakochany, gdyś mnie przywiózł ojcze z Niemiec, wbrew mojej woli, pamiętasz, więc uczyniłem zadość tej prośbie dziecinnej. Pasyans leży już od lat siedmiu w pasażyku, do którego nigdy nie wchodzę.

— I nie opowiedziałeś tej historyi sędziemu śledczemu?

— Po co? Myślałby, że to bajeczka, skomponowana naprędce. Zresztą dziwię się, jak mozna oskarżać na mocy błahego zbiegu okoliczności

— W istocie. Szaleństwem byłoby domyślać się u sędziów przysięgłych wyroku potępiającego za talię kart, w której brakowało damy pikowej... Ale... znaleziono w apartamencie ofiary kopertę... Mówią, że adres pisany jest twoją ręką...

— Mylą się.

Ludwik mówił teraz stanowczo, nie plątał się w odpowiedziach, tak jak na początku rozmowy.

Bystry obserwator — a najbystrzejszy ukryty był za ścianą — spostrzegłby, że już otwierał niemal usta do wyznań, już ulegał prośbom ojca, gdy nagle umilkł, zamknął się w sobie i obrał stanowczo system przeczenia wszystkiemu.

Taki obserwator byłby może zauważył, że ta zmiana zaszła w chwili, gdy p. Lecoq wspomniał o zazdrosnych niepokojach panny Lecomte.

Ojciec jednak nabrał silniejszego jeszcze przekonania, że jego syn jest ofiarą pomyłki sądowej.

— Moje drogie dziecię — rzekł ze smutkiem — pozory przemawiają przeciwko tobie, wcześniej czy później prawda musi wyjść na jaw. Zostaniesz sam, bo nie spodziewam się już, aby mi pozwolono zobaczyć cię raz jeszcze. Nie trać otuchy i mów prawdę. Będą prowadzili śledztwo przeciw tobie. I ja zacznę je prowadzić na własną rękę i udowodnię, że jesteś niewinnym.

— Wątpisz, czy mi się to uda? — mówił starzec, widząc niedowierzanie na twarzy Ludwika. — Nie wiesz, że fachem moim było wyświetlać tajemnice.. Ukrywałem dotychczas przed tobą, żem się zajmował dociekaniami prawnemi, ukrywałbym i dalej, ale chcę ci dodać odwagi.

— Wiedziałem o tem — szepnął młodzieniec.

— Wiedziałeś? Jakim sposobem? — zapytał p. Lecoq niebacznie.

— Znalazłem pewnego dnia... pomiędzy twojemi papierami... kartę agenta policyi tajnej.... z wypisanem na niej twojem nazwiskiem...

Gdyby piorun padł u nóg p. Lecoq'a, nie zdruzgotałby go tak, jak ta odpowiedź, którą, niestety sam wywołał.

Syn jego przyznał, że miał w ręku kartę agenta policyi tajnej i szef tej policyi, ukryty za drzwiami, usłyszał to wyznanie.

Nieszczęśliwy chłopiec jednem słowem zniweczył wszystkie szanse własnego uniewinnienia.

Ta karta okazana przy furcie pawilonu była dowodem niezbitym.

Ojciec jednak miał nadzieję, że zdoła osłabić doniosłość tej rewelacyi.

— Nie wspominałeś mi nigdy o tem odkryciu — rzekł z niepokojem.

— Nie wspominałem, bo nie chciałem robić ci przykrości — odpowiedział Ludwik.

Nagle podniósł głowę i rzekł serdecznie:

— Nie potrzebuję chyba cię upewniać, że to nie osłabiło mojego uczucia dla ciebie.

— Czy dawno już wiesz o tem? — pytał p. Lecoq, cały drżący.

— Od kilku dni zaledwie. Ale muszę ci coś wyznać. Nie chciałem, aby twoje nazwisko było na tej karcie, więc ją spaliłem.

— Na miejscu?

— Tak. Ogień palił się na kominku w twoim gabinecie. Rzuciłem ją na węgle. Czym źle zrobił?

— Nie... nie — zawołał staruszek, wcale nie pomieszany tem oświadczeniem. — Od lat wielu nie sprawuję już obowiązków zawodu, który obrałem z zamiłowaniem i w którym pracowałem uczciwie... Chciałbym zatrzeć to wspomnienie... ze względu na ciebie... i na rodzinę, do której wchodzisz...

A jednak to, że dziś mogę rozmawiać z tobą zawdzięczam jedynie dawnym stosunkom z zacnym szefem policyi tajnej.

Nie sądź, że on ci jest nieprzychylnym. Żałuje cię serdecznie i pragnie, by twoja niewinność wyszła na jaw, bo wszyscy mnie tutaj kochają... Wiesz, agent, który cię aresztował, służył dawniej podemną. Gdy mówił o tobie, miał łzy w oczach.

Powiadam ci to, żebyś nie tracił otuchy... Pamiętaj, że mam teraz jedną tylko myśl, jedno dążenie: wykazać twoją niewinność... i dopnę celu. Rozwiązywałem trudniejsze zagadki swego czasu.

Czy wiesz, od czego zacznę? Czytałeś w dziennikach historyę trupa znalezionego w skrzyni... wiesz, że tę skrzynię niósł głuchoniemy, który nie chciał, czy też nie mógł dać

objaśnienia. Otóż ten głuchoniemy zna zapewne zbrodniarza, który szedł o parę kroków za nim.

— A więc, niech mnie stawią wobec tego człowieka.

— Chcesz zatem konfrontacyi? — zawołał ojciec uradowany.

— Pragnę jej usilnie. Nie domagałem się jej u sędziego śledczego, przypuszczając, że sam ją zarządzi.

— Kochany jedynaku! — zawołał p. Lecoq — choćbym nawet wątpił w ciebie, to teraz przekonałbyś mnie ostatecznie. Ale ja nigdy nie wątpiłem. Mój przyjaciel, szef policyi, obiecał, że stawią cię przed głuchoniemym dziś lub jutro.

Gdy zostanie stwierdzonem, że on cię nie zna reszta pójdzie jak z płatka. Ja sam podejmuję się obalić wszystkie zarzuty z kolei. Nie będzie to trudno, bo coprawda jedno z drugiem się nie wiąże.

Potrafię ja już obrobić tego angielskiego rzezimieszka, który pozbył się tak zręcznie fotografii kompromitującej. Śmiesznem byłoby uwierzyć na słowo takiemu łotrowi!

Ale ja tutaj gwarzę, a czas upływa. Pocałuj mnie, mój chłopcze, i miej cierpliwość.

Zobaczę się z moim przyjacielem, ułożę z nim konfrontacyę i znajdę jeszcze wolną chwilę, żeby wpaść do Boulogne. Uspokoję panią Lecomte... powiem jej córce, że pobierzecie się za trzy tygodnie i wyruszycie do Włoch na miesiąc miodowy.

— Powiedz jej, że ją kocham i że nie kochałem żadnej innej kobiety — szepnął Ludwik, padając ojcu w ramiona.

Pożegnanie trwało krótko, bo p. Lecoq chciał jaknajprędzej porozumieć się z szefem policyi, a nie wątpił. że znajdzie go dobrze usposobionym dla sprawy.

Zawiódł się jednak. Gdy po chwili znaleźli się sam na sam w gabinecie po za kanceleryą, naczelnik rzekł do niego:

— Kochany przyjacielu, przyznaję, że po wysłuchaniu waszej rozmowy tyle wiem, co i przedtem. Zachowanie się i tłómaczenie pańskiego syna nie obciążają jego sprawy, ale też nie wykazują jego niewinności. A nawet, mimowoli uczynił ważne zeznanie.

— Mówisz pan o tej karcie agenta? Nie mógł jej przecie użyć, skoro natychmiast ją spalił.

— Tak, powiada. A przytem zechciej pan zwrócić uwagę na pewną okoliczność. Pańska karta była wydana przed laty dwudziestu, a Piédouche przypomina sobie doskonale, że człowiek ukrywający twarz w szaliku pokazał mu kartę dawnego wzoru.

— Piédouche jest dobrym chłopcem, ale wiesz równie jak ja, że się łatwo zapala, a gdy się zapali, traci trzeźwość sądu.

— Ja nie dyskutuję, omawiam tylko szanse pomyślne i niekorzystne. I tak... Historya miłosna, którą pański syn opowiedział, jest prawdopodobna, ale trudno ją będzie sprawdzić.

— Dlaczego? Wystarczy napisać do Heidelberga.

— Tak, ale wątpię, by jego ukochana z przed siedmiu laty chciała przyznać, że przed wojną kładła pasjans z Francuzem.

— Zresztą fotografia kobiety, stawiającej pasjans, będzie ważną poszlaką w oczach sędziego śledczego i może wpłynąć na opinię przysięgłych... Prokurator zwróci uwagę, że podsądny zamieszkiwał w Anglii, a zamordowana kobieta była Angielką.

— I rzezimieszek jest tej narodowości.

— Upewniam pana, że zostanie poddany ścisłemu śledztwu i jeżeli można z tej strony otrzymać objaśnienia, to je otrzymamy. Obawiam się tylko, że wypadną niepomyślnie dla pańskiego syna.

— To się okaże. Ja sądzę, że cała sprawa ciąży w tę stronę. Ale teraz mamy co innego do roboty.

— Istotnie. Trzeba sprawdzić, czy stopy podsądnego odpowiadają śladom, pozostawionym na śniegu. Wiadomo panu, że kazałem je odcisnąć w glinie. Potem nastąpi konfrontacya z sąsiadami, z rodziną węglarzy i innymi. .

— Spodziewam się, że zaczniecie od głuchoniemego.

— Miałem ten zamiar, a od chwili gdym podsłuchał pańskiego syna, utrwaliłem się w nim jeszcze. Ułożymy to zaraz. Oto właśnie Tolbiac. W samą porę przybywa. Potrzebujemy jego rady.

Detektyw wszedł dyskretnie, ukłonił się p. Lecoq z wielkim szacunkiem i rzekł:

— Dowiedziałem się o wielkiem nieszczęściu, które pana spotkało i proszę mi wierzyć, że współczuję serdecznie... Jeżeli kierunek tej sprawy mnie oddadzą. postaram się, nie uchybiając moim obowiązkom... wykazać niewinność pańskiego syna.

Staruszek podziękował serdecznie.

— Słusznie pan mówiłeś synowi, że wszyscy tu są panu życzliwi — wtrącił szef policyi. — Od dziś rozpoczynamy wielką partyę.

— Prawda, Tolbiacu, że trzeba przedewszystkiem skonfrontować głuchoniemego z podsądnym. Rozumiesz pan doniosłość tej próby. Jak uważasz, czy lepiej, żeby się odbyła tutaj, czy w Mazas?

— Skoro pan zasięga mojej rady — odparł detektyw po chwili namysłu, to podam panu pewien projekt.

— Żeby się próba udała, musi być dokonana w pewnych warunkach.

Głuchoniemy jest sprytny... tak przynajmniej mówiono... bo go sam nie widziałem — miałem swoje powody ku temu, wiem, że dziwiono się w prefekturze, dlaczego unikam tego spotkania.

Nie wiele brakło — dodał śmiejąc się p. Tolbiac — by mnie oskarżono o wspólnictwo z tym hultajem.

— Wolne żarty, ale i ja uważałem, że zanadto pan zwlekasz.

— Gdybym się był z nim widział, nie mógłbym zaproponować panom takiej kombinacyi: proponuję zaprowadzić głuchoniemego, który mnie nie zna: zapamiętajcie to sobie, panowie — do mieszkania p. Ludwika Lecoq.

— Po co?

— Bo jeśli ten człowiek służył podsądnemu — przepraszam pana za przypuszczenie, kochany panie Lecoq — to, oczywiście, widząc swego pana w celi więziennej, domyśli się, że i on został aresztowany i odegra komedyą, tak jak już ją może odegrał.

Tymczasem, jeżeli tak się urządzimy. aby sądził, że jest na wolności, to pozwoli mi się zaprowadzić na ul. Mont-Thabor, do apartamentu, gdzie p. Ludwik będzie go oczekiwał pod pańskim dozorem.

— Nie pojmuję tej kombinacyi.

— Jakto! nie rozumiesz pan, że dla przekonania się o winie lub niewinności podsądnego, wystarczy panu przyglądać się temu spotkaniu tak, aby głuchoniemy nie wiedział, że pan na niego patrzysz.

Z dwóch jedno: albo niemowa jest wspólnikiem p. Ludwika Lecoq, a w takim razie, gdy zobaczywszy go, będzie sądził, że jest z nim sam na sam, to za pomocą migów wyrazi mu swe zadowolenie z tak niespodzianego spotkania.

Jeżli zaś, nigdy p. Ludwika nie widział, co jest prawdopodobniejszem o wiele, to zachowa się biernie i niewinność młodzieńca zostanie wykazana.

My pierwsi, pan i ja, stwierdzimy, że próba jest stanowczą i że najoczywiściej podsądny nie miał nigdy do czynienia z człowiekiem, który niósł skrzynię, a tem samem, nie jest i nie może być mordercą.

Jestem pewien, że nasz raport przekona sędziego śledczego. Tymczasem konfrontacya w jego gabinecie, w Mazas lub w więzieniu śledczem, pozostawi go w wątpliwości, będzie zawsze posądzał głuchoniemego o udawanie, że nie poznał p. Lecoq.

— Tak — zadecydował szef policyi tajnej — środek, który nam pan proponujesz, dostarczy nam dowodu stanowczego w jednym lub drugim kierunku.

Co do mnie, gotówbym użyć takiego fortelu, a mam upoważnienie działać, jak sam uznam za najlepsze.

Jednak ten sposób tak odskakuje od zwyczajów sądowych, że chciałbym go przedstawić najprzód sędziemu śledczemu.

— Sędzia śledczy zgodzi się na taką prośbę, jeśli pan mu zaproponujesz, by wraz z panem był jej świadkiem.

— Czy tak samo w ukryciu?

— Naturalnie. Nie znam apartamentu przy ulicy Mont-Thabor, ale składa się zapewne z kilku pokojów. Pan będziesz w jednym, p. Ludwik Lecoq — w drugim. Drzwi pozostaną uchylone. W pańskim oddziale będzie ciemno, drugi pokój, w którym nastąpi spotkanie będzie jasno oświetlony. Nie będąc sam widzianym, nie stracisz pan ani jednego ruchu, ani jednego spojrzenia z tej sceny.

— Istotnie, myśl niezła. Chodzi tylko o to, czy się podoba mojemu staremu przyjacielowi — rzekł szef policyi.

— Nietylko mi się podoba — odparł Lecoq — ale proszę, jak o łaskę, abyście zrobili tę próbę dzisiaj, zaraz.

— Czy zastanowiłeś się pan nad możliwemi skutkami takiej konfrontacyi? Czy zdajesz pan sobie sprawę, że jedno drgnięcie twarzy głuchoniemego, jedno poruszenie, może potępić pańskiego syna? A jeżeli głuchoniemy się zdradzi — a zdradzi się, jeżeli zna podsądnego, bo niebędzie wiedział, że go obsaczają, to w takim razie nic już nie zniweczy zgubnych skutków tego pierwszego wrażenia: ani spokój pana Ludwika, ani zmiana w zachowaniu głuchoniemego, jeżeli wspólnik ostrzeże go nieznacznie mrugnięciem.

— Zdaję sobie z tego sprawę, a jednak domagam się konfrontacyi, bo jestem pewny Ludwika. Gdyby tu był, złączyłby swoje prośby z mojemi, bo wie, że taka próba wykaże jego niewinność. W jego więc imieniu i mojem dziękuję p. Tolbiac.

— Dość będzie czasu podziękować po próbie odparł detektyw z uśmiechem. — Życzę, aby wypadła ku pańskiemu zadowoleniu, a pragnąłbym wykrycia winowajcy, bo jestem zainteresowany osobiście w tej sprawie.

— Jakże przystąpimy do rzeczy? — spytał naczelnik, przerywając te wynurzenia Tolbiaca.

— Ależ to proste. Dziś, około ósmej wieczorem, przyjdziesz pan tutaj, zabierzesz p. Ludwika Lecoq, zawieziesz go na ulicę Mont-Thabor, pod pozorem, że dokonana tam będzie nowa rewizya, której on musi być świadkiem.

Przypuszczam bowiem, że sędzia śledczy będzie podzielał moje zdanie, iż nie należy uprzedzać podsądnego, że zostanie stawiony wobec niemowy.

— Próba może coś oznaczyć tylko pod takim warunkiem — oświadczył p. Lecoq.

Rad jestem, że i pan tak sądzisz. A zatem, panie naczelniku, prowadzisz podsądnego na ulicę Mont-Thabor. Przyjeżdżacie tam o wpół do dziewiątej. Wchodzicie na górę, bacząc, naturalnie, aby odźwierny nie domyślił się, że lokator został aresztowany.

Pozostawisz pan agentów na ulicy, z wyjątkiem jednego, najsprytniejszego, który wejdzie z panami do mieszkania i pozostanie w przedpokoju.

Instalujesz pana Ludwika w salonie i udajesz pan, że robisz rewizyę w pokoju sąsiednim.

W dziesięć minut potem rozlega się dzwonek. Agent drzwi otwiera. Głuchoniemy bierze go za służącego i daje się wprowadzić do salonu. Reszta, to już rzecz pańska, drogi mistrzu.

— Dobrze. Ale kto wydobędzie głuchoniemego z Mazas i przyprowadzi go tutaj?

— Ja, jeśli pan niema nic przeciw temu. On mnie nie zna; pozwoli pan, że znowu położę nacisk na to, że miałem słuszność, nie życząc sobie widzieć go dotychczas; w przeciwnym razie byłby się mnie wystrzegał, powinien iść za mną z własnej woli.

— Jakże go pan do tego skłonisz?

— Naprzód poproszę pana o odpowiednie instrukcye, aby w kancelaryi w Mazas wszystko się tak odbyło, iżby głuchoniemy mógł sądzić, że tym razem wypuszczają go stanowczo na wolność.

Żadna formalność nie zostanie pominięta. On jest zapewne sprytny i zrozumie, że takie rzeczy nie robią się na żarty.

— Jest sprytniejszy, niż pan myślisz. Odegraliśmy już raz przed nim taką komedyę w więzieniu śledczem i nie dał się złapać — rzekł szef policyi. — Sądzę jednak, że nie każe się prosić, gdy mu dadzą do zrozumienia, że może wyjść swobodnie. Dajmy na to, że już jest na ulicy. Pod jakim pretekstem zbliżysz się pan do niego?

— Nie zbliżę się wcale. Skinę.

— Zechciej pan tłómaczyć się jaśniej.

— Mój plan jest taki. Przypomina pan sobie: dwaj sierżanci powiadali, że w chwili aresztowania głuchoniemego, doleciał ich uszu turkot odjeżdżającego powozu. Wszyscy jesteśmy pewni, że ten powóz czekał na człowieka, który wyprzedzał głuchoniemego i wsiadł do wehikułu, gdy zobaczył, że chwytają jego wspólnika.

Pamiętam.

— Otóż z tego faktu wyprowadzam wniosek, że głuchoniemy był na żołdzie u kogoś, który miał własny ekwipaż. Nikt nie używa dorożek do przewożenia trupa. Otóż, gdyby głuchoniemy, wychodząc z więzienia zobaczył karetkę, stojącą u drzwi, a obok tej karetki dobrze ubranego jegomościa, któryby skinął na niego zachęcająco, to można przypuszczać, że nie uciekłby, a nawet, że zbliżyłby się dla zobaczenia, co to za jeden.

— Być może, ale prędkoby się przekonał, że to nie wspólnik.

— Dlaczego? Ów jegomość, wedle opisu sierżantów, był średniego wzrostu — jak ja — miał podniesiony kołnierz paltota — i ja go podniosę.

— Więc sądzisz pan, że głuchoniemy zechce wsiąść do pańskiego powozu?

— Nie wątpię o tem, a gdy już wsiądzie, reszta pójdzie jak z płatka.

Nie ma kłopotu z rozmową, bo rozmowa z głuchoniemym jest niemożliwa.

Jeśli będzie wymachiwał rękami, to i ja także, a łatwo go uspokoję, bo z pewnością przypuści, że go wiozę do miejsca, w którem będzie bezpiecznym.

Pomyśl pan tylko: ten biedak wychodząc z Mazas, zobaczy ekwipaż, czekający na niego. Ma się rozumieć pomyśli, że jego pan, przy pomocy swoich wpływów zdołał go uwolnić z więzienia i że przyjeżdża go zabrać.

A gdy się przekona, że tym jego panem nie jestem weźmie mnie za przyjaciela, wysłanego w zastępstwie.

— A skoro stanie przed domem p. Lecoq?

— Jeżeli już tam bywał, to wejdzie bez wahania, jeśli będzie stawiał opór, skłonię go do posłuszeństwa. A więc, kochany panie, czy zgoda?

— Środek trochę skomplikowany — rzekł po namyśle szef policyi — ale nic lepszego na myśl mi nie przychodzi. Tylko nie możesz pan brać na siebie całej odpowiedzialności w sprawie tak ważnej.

— Ja też nie chcę. Głuchoniemy mógłby odejść, nie zwróciwszy nawet uwagi, a wtedy znalazłbym się w kłopocie nie małym, bo nie mógłbym go tropić, jadąc w powozie.

Proszę, byście postawili co najmniej dwóch agentów przy drzwiach więzienia Mazas, takich dwóch, którzy już widzieli głuchoniemego.

— Piédouche i Pigache nadają się wybornie.

— Tak, niech się tylko przebiorą, bo nie trzeba, żeby ich głuchoniemy poznał.

— To się rozumie. Przyjdźże Pan do mojego gabinetu około dwunastej. Tymczasem porozumiem się z sędzią śledczym i dam instrukcyę agentom. Sprawa trudna i drażliwa, trzeba wszystko przewidzieć, wszystko ułożyć: godzinę, miejsce, gdzie ma stanąć pańska karetka, jaką drogą jechać, jeśli głuchoniemy nie wsiądzie do niej.

— Wszystko to ułożymy razem, kochany panie, i pewien jestem, że się nam uda.

— Czy pozwoli pan, bym do niego przyszedł dziś wieczorem, po tej konferencyi? — spytał p. Lecoq naczelnika.

— I owszem — odparł tenże, ściskając mu rękę — chciałbym módz panu dobrą nowinę oznajmić.

Tolbiac zaczął znowu upewniać starego policyanta o swej życzliwości. Ojciec Lecoq, wzruszony tylu dowodami współczucia, odszedł z sercem, przepełnionem wdzięcznością i nadzieją.

ROZDZIAŁ X.

Zmrok oddawna już był zapadł, gdy elegancka szafirowa karetka, zaprzężona w karego konia, wjechała na bulwar przed Mazas. Na koźle siedział stangret, otulony w futro.

Ten piękny ekwipaż skręcił na lewo i stanął naprzeciw muru więziennego; o kilka kroków od bramy, którą otwierają tylko dla karetek więziennych.

Dwóch ludzi wysiadło z ekwipażu i zdążało w stronę dworca Lyońskiego, droga ta była prawie pusta, bo o tej godzinie wieczorne pociągi jeszcze nie przychodzą.

Ci dwaj ludzie upatrywali kogoś widocznie; jeden z nich mruczał:

— Powinni już być na stanowisku.

— Trochę pobłażliwości, kochany pryncypale. Toż ci ludzie nie są z kamienia — tłómaczył mu towarzysz — choćby nawet wstąpili na kieliszek do szynku, tobym nie miał im za złe. Zresztą — dodał, patrząc na zegarek. — Oni się nie spóźnili. To my przyjechali za wcześnie.

Niewiele nam pozostaje czasu do udzielenia im instrukcyi, a jeśli za pięć minut nie przyjdą, to na cały miesiąc pozbawię ich prawa używania dorożek.

Znajdujesz pan, że jestem zbyt srogi, lecz, gdyby nie dyscyplina wojskowa, agenci rozpuściliby się, jak bicze dziadowskie.

To nie Anglia, mój drogi Tolbiac'u, gdzie kierowanie policyą jest zabawką.

Zresztą dziś chodzi o sprawę niezwykłą. My obaj wzięliśmy na siebie wielką odpowiedzialność i lada krok fałszywy może nam piwa nawarzyć.

Trudno mi było uzyskać upoważnienie na ten fortel. Starajmy się przynajmniej, aby nam się udał.

— Uda nam się, napewno, bo przedsięwzięliśmy wszystkie środki ostrożności.

— Tem niemniej chciałbym zrobić próbę. Naprzód pańska karetka powinna stanąć na miejscu, gdzie stoi w tej chwili.

— Bądź pan o to spokojny. Ja mam bystry rzut oka i wydam stangretowi polecenia dokładne.

— Czy to człowiek pewny?

— Pewny i dyskretny. Jest u mnie w służbie od pół roku, a nie rozmawiał ani razu z moimi służącymi, ani z odźwiernym. Oni by mi to zaraportowali.

— Czy się nie zdziwi, że każesz mu pan stawać dwa razy jednego wieczoru przed więzieniem Mazas?

— Sądzi, że czekam na kogoś, kto ma przyjechać koleją z Lyonu.

— A zatem, gdy się porozumiemy z agentami, odwieziesz mnie pan do prefektury i wrócisz tutaj na godzinę ósmą punkt. Taką godzinę wyznaczyłem dyrektorowi do puszczenia głuchoniemego.

— O! będę akuratny, ale nie potrzebuję wcześniej przyjeżdżać, bo pan przed wpół do ósmej nie dojedziesz na ul. Mont-Thabor, a mój koń przebiegnie tę drogę w dwadzieścia pięć minut

Ale prawda, po konfrontacyi każesz pan odwieść głuchoniemego dorożką Nie chcę go zawozić sam do więzienia.

— Oddam go w ręce agentów; te łotry jeszcze się nie zjawiły. Ciekaw też jestem, jaki będzie rezultat owego spotkania.

— Coprawda, kochany panie naczelniku, nie wyrobiłem sobie sądu w tym względzie. Przed p. Lecoq mówiłem, że wypadnie pomyślnie dla jego syna, bo nie chciałem zrobić przykrości staremu.

— Ja mam już swoje zdanie. Lecoq jest zacnym człowiekiem. Kocham go, jak brata, lecz syn jego, to łotr skończony; ręczę, że mu głowę utną.

— Jeżeli tylko niemowa go pozna, to młodzieniec jest zgubiony.

— Zresztą pisałem do Anglii... Spędził tam kilka lat; posądzam go, że znał kobietę z ul. Arbalète. Jeżeli otrzymam bliższe informacye, podzielę się niemi z panem.

— Oto nasi agenci.

Istotnie w świetle latarni, otaczających dworzec, ujrzeli idącego posłańca i tragarza.

Posłańcem był Pigache, tragarzem — Piédouche.

Szef policyi poznał ich od pierwszego wejrzenia. Rozmawiali z jakimś wyrobnikiem kolejowym.

— Tego już za wiele — mruknął szef policyi — Te błazny zbliżają się do nieznajomego w chwili, gdy mają uchodzić za służbę kolejową tego dworca. To także pomysł!

— No, raczyliście przyjść nareszcie — rzekł dowódca do swoich spóźnionych szeregowców. — Powinniście stać przed wrotami Mazas, a wy się włóczycie po ulicach.

— Daruje pan naczelnik — odpowiedział numer 29 — mamy stanąć na stanowisku o 8-ej wieczorem, a teraz jest zaledwie dziesięć minut po siódmej,

— Z kimże to prowadziliście gawędę?

— Ze zwrotniczym kompanii Orleańskiej, któregośmy spotkali. Pytał mnie o jakiegoś oficyalistę tej drogi. Musiałem udać, żem go znał, bo inaczej byłby się domyślił, że nie służę na tej drodze. Opowiedziałem mu jakąś bajeczkę. Trzeba przecież grać dobrze daną rolę, panie naczelniku. Potem zaprosił mnie na kieliszek do szynku naprzeciw. Nie mogłem odmówić... wciąż ze względu na tę rolę...

— Dość tego. Zamiast się włóczyć po szynkach z pierwszym lepszym, powinieneś dbać o służbę. Jak będziesz się tak sprawiał dalej, to cię wreszcie wyrzucę z prefektury.

— Proszę pana naczelnika — wtrącił nieśmiało Piédouche — pan mi wczoraj winszował a i pan Tolbiac zadowolony ze mnie. Zdaje mi się nawet, że zasłużyłem na nagrodę, którą mi pan obiecał.

— Dam ci ją dopiero po konfrontacyi — odparł Tolbiac — bo jeśliś się omylił, jeśli ten młodzieniec nie jest mordercą, to ci nic winien nie będę.

— To racya — odpowiedział agent strapiony. — A nawet... może mi pan wierzyć lub nie... w tym wypadku nie zmartwię się, jeżeli mnie gratyfikacya ominie. Ojciec Lecoq jest zacnym człowiekiem, a on tak kocha swojego syna.

— Milcz i słuchaj — przerwał mu szef policyi. — Czy widzisz tam tę karetkę?

— Widzę, panie naczelniku. Już ją dawniej obejrzałem. Kary koń, stangret w futrze, pudło szafirowe. Poznam wszędzie ten zaprząg. Niema obawy.

— A więc słuchaj. My dwaj odjedziemy tym ekwipażem. Na pięć minut przed ósmą powróci tu znowu i stanie na tem samem miejscu, gdzie dziś stoi.

— Poznam ją wszędzie. A ponieważ pan naczelnik dał nam instrukcyę, co mamy robić..

— Powtórzę ci jeszcze raz instrukcyę. Ty i Pigache będziecie stali po drugiej stronie bramy Mazas — już przy murze i będziecie udawali, że rozmawiacie ze sobą... Dozorca będzie uprzedzony i nic wam nie powie.

— Zresztą on nas wcale nie dojrzy. Umiemy się ukryć, panie naczelniku.

— O ósmej punkt — wbij to sobie w głowę — ujrzycie głuchoniemego wychodzącego przez drzwi boczne na prawo od bramy. Jednocześnie pan Tolbiac wysiądzie ze swojej karetki i na głuchoniemego skinie. Wtedy wytrzeszczajcie dobrze oczy, abyście nic nie prześlepili.

— Pan naczelnik może być spokojny.

— A bądźcie gotowi na wszystko. Jeżeli głuchoniemy wsiądzie do powozu z panem Tolbiac'em, to nic wam nie pozostaje, jak podążyć na ulicę Mont-Thabor.

Jeśli, przeciwnie, niemowa pójdzie dalej i błąkać się zacznie po ulicach to będziecie go tropili zręcznie... ostrożnie...

W takim razie nie spuszczać go z oka. Po dobrej pół godzinie, jeżeli zmiarkujecie, że nie wie dokąd iść, to podejdziecie wreszcie do niego.

Poznać was nie może pod tem przebraniem. Zgodzi się też iść z wami, jeżeli potraficie wziąć się do rzeczy...

Przywieziecie go dorożką lub przyprowadzicie pieszo — jak wam się podoba...

Ja nie ruszę się z apartamentu przy ulicy Mont-Thabor, dopóki głuchoniemy tam się nie zjawi... czy to z panem Tolbiac'em czy z wami. Zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy panie naczelniku.

— Przedewszystkiem pamiętaj, Piédouche, że chodzi tu o twoją własną skórę.

Po takiej groźbie szef policyi wziął pod rękę p. Tolbiac'a i wsiadł do karetki, która pomknęła ulicą Lugduńską.

Piédouche, spoglądając za nią, myślał:

— Naczelnik ma nas za chłystków, czy za nowicyuszów Daje takie polecenia, jak gdybyśmy pierwszy raz zabierali się do roboty. A jednak zadanie wcale nie jest trudne.

W chwili tej ręka jakaś spoczęła na jego ramieniu.

Przepraszam was, ojcze — usłyszał Piédouche po za sobą — czy znacie tych dwóch jegomościów, którzy przed chwilą wsiedli do karety?

Piédouche odwrócił się szybko i zobaczył, że człowiek, który go o to pyta jest zwrotniczym kolei Orleańskiej, tym, z którym pobratał się w szynku.

Zdziwiony jego widokiem, a jeszcze bardziej zadanem sobie pytaniem, agent odpowiedział ostrożnie.

— Tych panów oglądam po raz pierwszy. Ja nie mam stosunków z ludźmi powozowymi. Pytali mnie o szczegóły nowej linii kolejowej, którą otworzono w Burgundyi... tak jak gdyby nie było ogłoszeń na dworcach. Ale ci bogacze wszyscy jednakowi. Co ich tam obchodzi, że zabierają człowiekowi czas niepotrzebnie.

— Przepraszam was, ojcze, ale ponieważ rozmawialiście z nimi, więc sądziłem...

— Czy wy ich znacie?

— Znam jednego.

— Którego?

— Wyższego, tego co jest bez brody.

— To musi być właściciel powozu — rzekł Piédouche z miną bywalca. — Kiedy wsiadali do karety, on pierwszeństwo tamtemu zostawił. No, ale że wy bywacie u takich panów! Niemyślałem.

— Ja u niego nie bywam. Wiem tylko, jak się nazywa i gdzie mieszka.

— Jakże on się zowie, jeżeli wolno zapytać?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń o Tej

„co jeszcze nie zginęła“.

Bolesna! Masz u czoła znak, co go nie zmyje
Woda Wisły błękitnej: to hańba niewoli...
Na dziejowym zegarze sto lat właśnie bije,
Odkąd znak, który pali krew i śmiercią boli,
Padł na oblicze twoje i pokoleniami
Synów twoich i cór twych jasne czoła plami!

O, Matko, coś w purpurze chadzała promienna,
Przez wiek ten jakiej hańby dożyłaś i sromu!
Za rydwanem ciemięzcy kroczysz bezimienna,
Żałobna, z szat odarta, bez głosu, bez domu,
A tym, coś ongi była tarczą i kotwicą,
Upiorem jesteś dzisiaj, biedna niewolnico!

Śladem stóp twoich idą: krew, mord i męczeństwo
I podstęp, co się oczom przymila niegodnie,
I największe niewoli narodów przekleństwo,
Którego znakiem swary i Kainów zbrodnie,
I obłuda, co szepce, że kocha cię wielce,
A na ołtarzach twoich złote stawia cielce...

O, matko, Bóg twym synom dał silną pierś męską
I wiarę, co od wielu pokus ich wymodli,
Ale niewola straszną i dla silnych klęską
I niejednych zabije, lub – co gorsza — spodli...
Lecz tych po serc niemocy sądź, nie po złej woli:
Ich pierwszą kołysanką była pieśń niewoli.

Sto lat rycerze twoi, upadła królowo,
Błądzą, by ci odzyskać siłę dawnych blasków;
Z mieczem w dłoni, ze skargą w ustach hiobową
Wolności twej szukali u piramid piasków.
Boleść była ich wodzem, — rozpacz ich mogiłą:
Innym znaleźli wolność, lecz twojej nie było!

Nie było cię, o Jasna, w krzyku Targowicy,
Ni w gabinetach tronów, ni pod Sommosierra,
Boś korony swej w obcej nie skryła swietlicy;
Jeno tam, gdzie się wszelki skarb narodów zbiera
W pieśni wieszczej, co serca w jeden akord sprzęga
I w piersi, którą zgrzebna osłania siermięga.

Poznalim prawdę wieku: owi ludzie prości,
A nie spróchniałe serca twą potęgę wskrzeszą
I purpurę ci wrócą, i praojców kości
W mauzoleum relikwii narodu zawieszą.
Ojczyzno! Daj im jeno świadomości zdolność,
A w nich znajdziesz swą przyszłość i dzielność i wolność!

Wiek bije... Spojrzyj, Matko: pierwsze blasków gońce
Wchodzą nad głową twoją, jak gwiazda zaranna.
Idą rzesze, co stały przez sto lat milczące,
Bielą się siermięgi, słychać głos: „Hosanna!...“
Z czarnej roli, od pługa podnosi się ręka,
Słyszycie zgrzyt!... To kajdan żelazo już pęka!

Nadesłał
Czytelnik „Pracy“.

Duch wywołany.

I.

Czy godzicie się na zdanie Hamleta? Czy wierzycie, iż na niebie i na ziemi zdarzają się cuda, o których nie śniło się filozofom? Prawdąż li wydaje się wam opowieść Williama Crookes'a, który miał przez długi szereg tygodni spożywać śniadanie w towarzystwie zmateryalizowanego ducha młodej osoby, przyodzianej w powiewną szatę lnianą i turban z pióropuszem?

Nie śmiejcie się...

Duch nawet z pod turbana, zmrozić by was mógł śmiertelnym strachem, komizm przybrania spotęgowałby jeszcze grozę sytuacyi. Co do mnie, nie śmiałem się bynajmniej wczoraj wieczorem, czytając w *New-York Herold* sprawozdanie z procesu kryminalnego, który zakończy się zpewnością skazaniem na śmierć podsądnego.

Ponure to zdarzenie.

Przy odczytywaniu protokułu, opartego na zeznaniach kelnera, podsłuchującego pode drzwiami numeru, i świadectwie wiarogodnych widzów, obecnych przy rozegraniu się tragicznej sceny, dreszcz przenikał mną aż do szpiku kości...

Cóżby dopiero było, gdybym był ujrzał na własne oczy widmo pięknej zmarłej z raną krwawą w piersi, w której zatapiała palce, znacząc na czole przestępcy krwawe znamię.

II.

W dniu 2-gim stycznia o godzinie trzeciej po południu, słynne medyum, profesor Benjamin Hawenport („Hawenport“ znaczy „port zbawienia“) i miss Ida Soutchotte, młoda osoba, mocno wybladła i nadwątlona, (od lat paru poddająca się doświadczeniom profesora) kończyli obiad w numerze, znajdującym się na drugiem piętrze hotelu *Devonshire* w New-Yorku.

Sława „profesora“ była o tyle rozległa, o ile — niezasłużona.

Spirytyści poważni nie mieli do niego zaufania, jakiem darzyli ostentacyjnie Williama Crookesa lub Daniela Douglasa Home.

Autor Historyi spirytyzmu w Ameryce twiedził, iż „najostrzejsze“ zarzuty dotykają nową naukę z winy medyów nieuczciwych, które w celu przyspieszenia objawów, lub w chwilach, w których moc nadprzyrodzona odstępuje, dopomagają sobie sztuczkami, wprowadzając uczestników seansów w błędne koło fałszów i omamień.

Do takich „dopomagających“ sobie medyów należał profesor Benjamin.

Pozatem krążyły o nim głuche pogłoski, oskarżające go o różne fortele życiowe przy grze w karty, pojedynkach bez świadków, zakończonych śmiercią i zniknięciem sakiewki przeciwników itp. Szeptano sobie po cichu, iż żona „wywoływacza duchów“ zdradzona, zrujnowana, przypłaciła życiem nieszczęścia domowe.

Pomimo tych wszystkich pogłosek, p. Benjamin Hawenport, dzięki udatnym seansom spirytystycznym, wywierał znaczny wpływ w kołach szerokich, panował wszechwładnie nad całemi legjonami dusz prostych i naiwnych.

Niepodobna było wyperswadować wielkiej ilości poczciwców obu półkuli, iż nie słyszeli, nie dotykali za jego pośrednictwem zmateryalizowanych duchów braci, matek, sióstr lub ukochanych.

Doskonale mu zresztą dopomagała w suggestyonowaniu ludzi twarz fatalistyczna, o cerze brunatnej, oczach głębokich, pełnych złowrogich połysków, nosie orlim i uśmiechu demonicznym.

III.

Kiedy kelner po podaniu deseru zamknął delikatnie drzwi za sobą, w numerze zawiązała się następująca rozmowa:

— Przygotuj się — mówił „wywoływacz duchów“ — dziś wieczorem seans u mistress Harding. Będzie tam wiele osób, a pomiędzy niemi kilka wpływowych osobi tości, paru milionerów. Skryj pod suknię gazę przejrzystą, białą i perukę kobiecą jasnowłosą.

— Dobrze — odparła Ida głosem zrezygnowanym.

Garson, zaintrygowany oryginalnym wstępem rozmowy, przyłożył ciekawie ucho do dziurki od klucza.

— Kogo dziś będziesz wywoływał, Benjaminie?

Dał się słyszeć wybuch śmiechu brutalny, jaskrawy. Krzesło uginało się pod weselącym się hałaśliwie mężczyzną.

— Nie powiem... Zgadnij!...

— Jak tu zgadywać? Nie wiem.

— Wywołam ducha mojej żony.

Tu nastąpił nowy wybuch śmiechu, jeszcze rubaszniejszy Drgała w nim nuta wyzywającej bezczelności i stłumionego gniewu.

Z ust Idy wybiegł okrzyk grozy. Po głuchym szeleście materyi podsłuchujący pode drzwiami garson doszedł do przekonania, iż kobieta czołgała się u nóg profesora.

— Benjaminie! Benjaminie! Ty tego nie uczynisz! — wołała wśród łkania.

— Czemużby nie? Mówią powszechnie, żem unieszczęśliwił panią Hawenport. Ta legenda psuje mi interesa. Dla usunięcia szkodliwych pogłosek trzeba, aby duch mojej żony w obecności licznych świadków przemawiał do mnie z tkliwą pieszczotą. Tak. Kładę na to szczególny nacisk: z tkliwą pieszczotą. Zapamiętaj to sobie i popisz się dobrze na dzisiejszem posiedzeniu.

— Nie! Nie. Ty tego nie uczynisz! Ty tego nie uczynisz! Ty nie możesz tego wymagać ode mnie. Zechciej mnie wysłuchać. Błagam! Od czterech lat jestem ci wierną i uległą i jak pies poddaję się twojej woli bezgranicznie! Czyniłam przez ten czas wszystko coś rozkazał. Kłamałam, oszukiwałam tak jak ty. Bóg świadkiem, ile mnie kosztowała nauka snu jasnowidzącego i tych wszystkich transów i torsyj. Powiedz sam, czy drgnęłam kiedykolwiek, czy wydałam najlżejszą skargę wobec ukłucia szpilką, wykrzywiania rąk i wszelakich najstraszniejszych udręczeń? Co więcej, za firanką, naśladując oddalone głosy, wmawiałam matkom, małżonkom, że ich synowie i mężowie przybywali do nich z lepszych światów. Ileż to razy z narażaniem życia i czci czołgałam się pod stołami, wykonywałam karkołomne skoki dla dopomożenia tobie, ile razy udawałam powiewne zjawiska, w których oczy zaślepione łzami, odnajdywały ukochane postacie?

— I cóż z tego? Jako moja spólniczka, spełniałaś tylko obowiązek.

— Ach, gdybyś ty wiedział, jaką trwogą przejmują mnie te świętokradzkie praktyki! Ty parodyujesz na chłodno tajemnice wieczności, bo nie wierzysz. Ale ja mam przeczucie, że *źle czynisz, wzywając potęgi pozagrobowe...*

— Co chcesz przez to powiedzieć, naiwna gąsko?...

— Że mnie zdejmuje zabobonna trwo-

ga... Boże! Coby to było, gdyby w chwili, kiedy udaję śmierć, ona sama przyszła do mnie naprawdę z potępieniem na ustach! Boże! Jak ja się boję... Ten bezustanny niepokój przyprawił mnie o chorobę sercową, która mnie grozi nagłym zgonem. Spojrz jak ja wyglądam, jak jestem wycieńczona i zgorączkowana, przybita... Ulituj się nademną... *Nie wyzywaj potęgi pozagrobowej...* Nie każ mi odgrywać roli tej nieszczęśliwej, która była tak piękna i łagodna... Zkąd ci mogło przyjść na myśl podobne świętokradztwo? Oszczędź mi go, Benjaminie! Błagam tu u kolan twoich...

Teraz on nie śmiał się... Po odgłosie potrącanych mebli i tępem uderzeniu czaszki o podłogę, kelner doszedł do wniosku, że Ida odepchnięta gwałtownie, obezwładniona, może nieprzytomna... Cisza bowiem zaległa pokój. Co się stało, dalej kelner nie wiedział, bez wyraźnego bowiem dzwonienia, wejście do numerów było absolutnie wzbronione.

IV.

Tegoż dnia wieczorem, około północy, w salonie mistres Harding, zasiadło czterdzieści osób wpatrzonych w kotarę, którą przed chwilą szarpały pozaświatowe siły. Lampa przyćmiona i w głębi pokoju ukryta, z pod cienia ponsowego abażuru wydawała światło skłonne raczej do uwydatnienia ciemności, aniżeli do ich rozświetlenia. Wobec tego, po nad wszystkiemi przedmiotami unosił się niepewny, tajemniczy zmrok, którego grozę potęgowało głuche milczenie, przerywane jedynie przyspieszonym, gorączkowym oddechem zdenerwowanych uczestników.

Profesor Hawenport był znakomicie usposobionym. Widocznie fluid magnetyczny w sprzyjających warunkach, wydzielał się z siłą zdwojoną. Świat duchów powolnym był mu na skinienie, bez oporu, i był istotnie władcą wszechpotężnych dusz!

Widziano wyraźnie, jak ręce pozbawione ramion, zrywały kwiaty w żardynierkach, fortepian nie poruszony rozbrzmiewał czarodziejską melodyą, eteryczne palce muskały twarze uczestników, stół odpowiednią liczbą stuknięć odpowiadał trafnie na najbardziej niespodziewane pytania.

Sam profesor nawet, popadłszy w ekstazę symboliczną, uniósł się wraz z krzesłem po nad stół, następnie przechadzał się po pokoju z rękoma pełnemi żarzących się węgli.

V.

Ale doświadczenie najciekawsze, najbardziej decydujące, stanowić miało zapowiedziane od początku posiedzenia, wywołanie ducha Arabelli Hawenport.

— Godzina wybiła! — wygłosiło głosem patetycznym *medyum.*

I podczas, gdy wszystkie piersi podnosił trwożny niepokój, podczas gdy wszystkie wejrzenia rozwierały się szeroko w złowrogiem oczekiwaniu zjawiska, Benjamin Hawenport stanął pośrodku rozsuwającej się kotary wybladły, zda się nagle wybujały, z włosem rozwianym i demonicznemi błyskami w oczach.

Pięknym był i tragicznym zarazem.

— Pójdź, Arabello! — wołał rozkazująco w tonie recytatywy i giestem wskrzesiciela-cudotwórcy.

Czekano...

Nagle z po za kotary usłyszano krzyk. Był to wyraz śmiertelnego przestrachu — rozdzierający głos duszy, wydającej ostatnie tchnienie.

Uczestnicy zadrżeli, mistres Joanna mało co nie zemdlała i samo medyum wydało się mocno zdziwionem...

Benjamin oprzytomniał jednak szybko i uchylił zręcznie kotarę, przez którą wsunęło się zapowiedziane zjawisko,

Była to postać młodej kobiety o jasnych, spływających do stóp włosach. Z pośród lekkich, powiewnych obsłon, wyłaniała się pierś obnażona, na której widniała krwawiąca się rana.

Wszyscy cofnęli się gwałtownie, popychając krzesła ku ścianie. Benjaminem wstrząsały konwulsyjne dreszcze. Przeraźliwie blady, schronił się w ciemny kąt pokoju.

Ale młoda kobieta — Arabella, prawdziwa żona jego — którą poznawał doskonale, posuwała się wprost ku niemu i zwilżywszy palce krwią z otwartej rany, dotknęła nim czoła bezprzytomnego z przestrachu Benjamina, powtarzając głosem powolnym, monotonnym, niby echo rozlegającej w oddali skargi:

— Tyś mnie zabił, Benjaminie! Tyś mnie zabił, Benjaminie!

Jeden z gości odważniejszych, natrafiwszy na guzik elekryczny, zadzwonił gwałtownie. Służba nadbiegła. Zapalono lampy. Duch zniknął. Na ziemi leżał „profesor“ w konwulsyach z pianą na sinej, wykrzywionej grozą twarzy.

W gabinecie sąsiednim po za kotarą, znaleziono martwe zwłoki Idy. Lekarz skonstatował nagły anewryzm serca, spowodowany gwałtownem wstrząśnieniem nerwowem.

VI.

I dlatego to profesor Benjamin Hawenport stanął przed sądem nowojorskim, oskarżony przez czterdziestu uczestników seansu o zamordowanie żony.

Istotę zbrodni ustalić miało dalsze śledztwo... *C. M.*

Racławicka ziemia.

I.

Pod Krakowem na wierzchołku góry Bronisławy
Sypią kopiec z naszej ziemi na grobowiec sławy.
Lud się garnie co ma siły, taczki pchają pany,
Wszystko się tu pomięszało: delje i sukmany.
Bo ten, komu wierny naród tę pamiątkę wznosi,
Za lud cały Pana Boga o zbawienie prosi,
A za życia pod sukmaną nosił serce święte,
Frymarkami ludzkich względów nigdy nie ugięte,
Wszyscy jemu równi byli, wszyscy bracia z kosy:
I karmazyn od jedwabiu, i od roli bosy.
Będzie pomnik jednolity — może Bóg da z niego
Łaska boża spłynie w naród i zbawi od złego.

II.

Święta ziemia nasza polska, święta w każdej grzę-
[dzie,
Rośnie kopiec pod niebiosa, dobry pomnik będzie.
Ale ziemia najbogatsza z Racławickiej wioski,
Bo przesiąkła krwią męczenską braci kościusz-
[kowskiej.
Więc się dobrze nią okrasi pamiątka tak święta,
Kłosy dobre wschodzą z ziemi, co krwią prze-
[siąknięta.
To i pomnik kościuszkowski nią się ubogaci,
I pamiątką uroczystszą zostanie dla braci.
A więc żwawo dwóch wiarusów z pułku Tade-
[usza*)
Do Racławic na mogiłki poległych wyrusza.
Wiedzą kędy była bitwa, gdzie armaty brali.
I gdzie mężni w bohaterskim śnie w grobach
[zostali.
Wnet plac boju wynaleźli, bo serce nie skrzepło,
I pamięta, jak tu niegdyś z Moskwą było ciepło.
I poznają, gdzie dwóch z wiary obok siebie pa-
[dło,**)
Ale dzisiaj na ich grobie — domostwo zasiadło.
Więc uklękli towarzysze poległych spółbraci
I modlili się za niemi łzą, co niebem płaci.

III.

Ale Moskal zagrabiwszy ziemię i pamiątki,
Pozacierał drogich wspomnień wszystkie święte
[szczątki;
Porozwalał krzyże z grobów, bojąc się by z ziemi.
Nie tak rychło powstawali mściciele nad niemi,
Więc grobowce rozsypane pługiem zaorali,
I na ziemię krwią przesiąkłą ziarno posypali.
Lecz na grobach Racławickich stanął dom garn-
[carza,
Co był stróżem przed wrogami bratniego cmen-
[tarza.
Cały jego był dobytek ta skiba grobowa,
Więc się cieszył zobaczywszy powstańców z Kra-
[kowa.
On tam własną swoją ręką domeczek wystawił,
I przed wrogów nienawiścią groby braci zbawił,
I garncarską pędząc sztukę, tem ich oczy ślepił.
Chociaż zawsze z innej gliny swoje garnki lepił

IV.

Więc gdzie padli dwaj waleczni teraz chata stała
Ubogiego dziś garncarza to majętność cała.
Wchodzą do niej kościuszkowscy, mówiąc boże
[słowo,
Wita gości biedny garncarz z posiwiałą głową:
„Hej panowie! z dobrą wieścią widzę spieszą ku
[mnie,
Dobrze, żeście nie zastali starowiny w trumnie.
Dawno ja tu czekam na was i modlę się o to,
Bym w uczciwe złożył ręce to ojczyste złoto.
Mojać dzisiaj to chudoba, lecz te skarby święte
Dla Ojczyzny są gotowe, bo krwią przesiąknięte.
Strzegłem ja ich jak relikwij, aże do tej chwili,
By ich wrogi swojem ziarnem nie zapługawili.
Tam sypiecie pomnik świętej pamięci wodzowi —
Cześć wam za to towarzysze, i cześć Krakowowi!
Ja wam ziemi dam najdroższej, ziemi krwią bo-
gatej,
Z pod tej mojej ukochanej, garncarzowej chaty.
I ta ręka, co ją wzniosła, dzisiaj ją rozburzy.
A tak człowiek i nad grobem ojczyźnie usłuży.
Hej panowie! dalej zemną — już za słabe siły,
Odkopujmy świętą ziemię z ojczystej mogiły.“

V.

Starym w oczach łzy zabłysły, gdy słyszeli słowa,
W których tyle uczciwości i cnoty się chowa.
Garncarz porwał za siekierę, i swą chatę walił,
Którą na to wybudował, by groby ocalił.
Siły starca omdlewały, kiedy kończył dzieło,
Ale serce najroskoszniej na ostatku drgnęło.
„Bierzcie ziemię drodzy bracia! mnie już jej nie
[trzeba,
A za stróża świętych szczątek westchnijcie do
[nieba!“
Rzekł — i klęcząc pomalutku zsunął się ku ziemi,
I zacnego złączył ducha z dwoma poległemi.
A powstańcy kościuszkowscy wzruszeni zdarze-
[niem,

---

*) Obywatel Szymon Benda i Kasper Piątkowski, porucznik miejskiej milicji.

**) Kapitan Czarnecki i porucznik Gostkowski

Śmierć spokojną sługi grobów poczcili westchnieniem,
Potem zwłoki pogrzebali tam gdzie chata stała,
I zabrali świętej ziemi, co krwią przesiąkała.

VI.

Jadą posły do Krakowa z Racławickiej ziemi,
Wiozą fury na Mogiłę z szczątkami drogiemi;
Jadą bramą Floryańską, strojno, uroczyście,
Lud się ciśnie; rozrzewniony na sercach ogniście.
Hej! Hej! święte to relikwie, drogie to pamiątki —
Moskwa grozi, że z jej granic wywieźli te szczątki.
Na mogiłę Tadeusza cały Kraków leci,
I modlitwą wielbi pamięć Racławickich dzieci.
A historyę o garncarzu powtarzając z cicha,
Każdy z serca za spoczynek stróża grobów wzdycha.

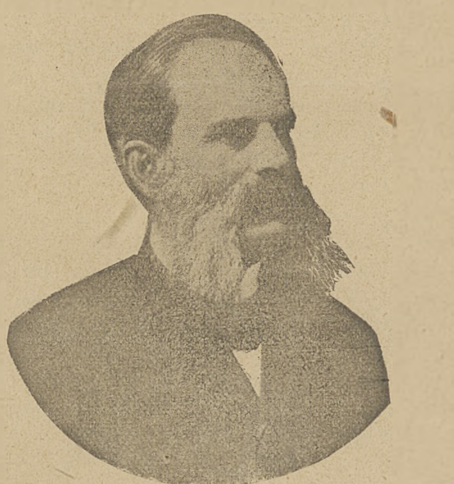
J. K. Turski.

†

Nekrologia.

S. p. Radzca zdrowia Dr. Klemens Koehler.

Śmierć ś. p. Dr. Klemensa Koehlera, wydarła naszemu społeczeństwu jednę z najczynniejszych i najsympatyczniejszych osobistości w Poznaniu. Urodzony 9 go lipca 1840 w Bydgoszczy z ojca urzędnika i matki pochodzącej



Ś. p. Dr. Klemens Koehler,

z rodziny Lipskich, umiał ś. p. Klemens przez całe życie swoje pracowite zdobyć sobie uznanie i poważanie zarówno polskiej, jak niemieckiej ludności na każdem polu, na jakiem pracował.

Po ukończeniu gimnazyum, na które uczęszczał w Poznaniu i w Ostrowie, oddał się studyom medycznym w Wrocławiu, Gryfii, a w końcu w Berlinie i tam otrzymał 1869 dyplom doktorski.

Pierwszem miejscem jego pracy był Kościan, gdzie ogromną zdobył sobie praktykę i ogólne poważanie. Tam też rozpoczął szereg swych publikacyi lekarskich, najprzód popularnych, dla ludu przeznaczonych, np. dla matek, a także i naukowych, które ogłaszał we wszystkich prawie wówczas po polsku wychodzących czasopismach warszawskich i krakowskich, w Rocznikach Tow. Przyj. Nauk, a później w Nowinach Lekarskich, do których założycieli i członków redakcyi należał. Przesiedliwszy się do Poznania po nabyciu wprawy w specyalności dla chorób gardła, krtani, nosa i uszu jako asystent prof. Jurasza w Heidelbergu, — nie ustał on i tu w pracach naukowych, które jednakże nieco specyalniejszej już nabrały cechy. Był on jednym z najczynniejszych członków Komitetu redakcyjnego „Nowin Lek.“

Przy tem jednak równocześnie coraz więcej oddawał się studyom historycznym i archeologicznym, dotyczącym szczególnie naszej dzielnicy, a które mu zyskały niemałą sławę w szerokich kołach i w różnych krajach. Tylko część tych prac jego archeologicznych umieszczoną jest w rocznikach pozn. Tow. Przyjaciół Nauk i w osobnych dwóch pysznych wydaniach ze spisem i podobiznami urn, bronzów, gładzonych kamieni itd. u nas odkopywanych i w zbiorach archeologicznych Towarzystwa Przyjaciół Nauk przechowanych. W skutek tych prac został on członkiem wielu towarzystw naukowych zagranicznych, także i komisyi archeologicznej przy akademii krakowskiej.

Prócz naukowych zajmowały go w Poznaniu sprawy społeczne i dlatego należał do najczynniejszych członków zarządu niektórych instytucyi naszych, mianowicie „Westy“, prawie od początku jej istnienia.

Akuratność jego w wypełnianiu tych różnorodnych obowiązków była powszechnie u nas znaną i dlatego miano u nas zaufanie do wszystkich instytucyi, w których ś. p. Klemens czynny brał udział. Także i Niemcy umieli cenić te przymioty zmarłego, powołując go na zaszczytne miejsce przewodniczącego. I tak był przez szereg lat przewodniczącym Izby lekarskiej na całe W. Księstwo Poznańskie; także należał do zarządu Ogrodu zoologicznego w Poznaniu itd. itd.

Tak, jak w życiu publicznem pożytecznie i chlubnie pracował, tak i w życiu rodzinnem był on wzorem głowy rodziny polskiej i katolickiej; wychował on dzieci swe po chrześciańsku i postarał się o ich najlepsze wykształcenie, pomnożył znacznie przez swoją pracę swój majątek, a zostawia dzieciom swym prócz materyalnego spadku i najpiękniejszą spuściznę pięknej tradycyi i najczystszego imienia.

Śmierć takiego zasłużonego w naszem społeczeństwie męża jest prawdziwą publiczną stratą i to nie małą. Lekarze poznańscy, a szczególnie lekarze polscy tracą w nim wiele bardzo, wiele traci Tow. Przyj. N. i Towarzystwo Naukowej Pomocy, którym oddawał wielkie usługi, dużo traci „Westa“ i inne instytucye, do których należał. I „Praca“ traci w zmarłym wiernego czytelnika i zwolennika.

Oby przynajmniej przykład, jaki dał wszystkim, cichej a nieustannej pracy, zagrzał wielu do naśladowania tego męża, którego wszystkie, a liczne zasługi i usługi dopiero z czasem będziemy mogli ogarnąć.

Redakcya „Pracy“ składając na trumnie ś. p. Klemensa Koehlera wieniec, złożyła cześć i hołd pośmiertny zacnemu obywatelowi i lekarzowi, który zostawił serdeczny żal po sobie, ale zabrał z sobą miłość i tęsknotę!

Dzielimy smutek pozostałej, a stroskanej żony, dzieci i rodziny.

Redakcya „Pracy“.

S. p. prof. Maryan Jaroczyński.

Żałobnem echem odbiła się w mieście naszem smutna wiadomość o zgonie ś. p. profesora Maryana Jaroczyńskiego, bo choć śmierci jego najbliżsi mu sercem członkowie rodziny i przyjaciele od dawna się obawiali, to jednak każdemu w miłej pamięci stała zawsze piękna postać tego szanownego starca, który przez długie lata, nim go niemoc nie zwaliła na łoże boleści, imponował świeżością sił fizycznych i duchowych, elastycznością ruchów i ową rycerską układnością wobec dam, która była udziałem mężów jego generacyi, dziś już prawie wymarłej. I dlatego ta piękna, typowa postać jego tak bardzo była każdemu miłą i sympatyczną, że trudno dziś pogodzić się z myślą, iż się już jej nie ujrzy. Odszedł z tego świata za równym mu usposobieniem mężem, równie jak on gołębiego serca, ś. p. radzcą Lekszyckim i innymi sędziwymi, dziś już nieżyjącymi świadkami owej lepszej epoki górniejszego życia narodowego, politycznego i społecznego, w której każdy Polak w rodaku uznawał brata, dla niego i dla społeczeństwa pragnął całej sumy szczęścia i do pozyskania go wedle sił i możności starał się przyczynić.

Ś. p. profesor Jaroczyński pięknego doczekał się wieku, umarł bowiem w 82 roku życia, a jeszcze przed rokiem cieszył się taką pełnią sił, że zdawać się mogło, że anioł śmierci nie rychło stanie u jego łoża.



S. p. prof. Maryan Jaroczyński.

Zmarły profesor był jednym z najdzielniejszych naszych rysowników, a bezwarunkowo najlepszym w dzielnicy naszej nauczycielem rysunków. Pod jego okiem wykształciły się całe generacye, zawdzięczając Jego umiejętnemu kierownictwu biegłość we władaniu ołówkiem i kredką, całe generacye obywateli, piastujących dziś po większej części poważniejsze stanowiska. Spuścizna artystyczna po ś. p. prof. jest obfitą, a cenną szczególnie w pięknych kartonach rysunkowych, jakkolwiek utwory Jego z pomocą pędzla wykonane, jak „Pokój toruński“ zdradzają także znamiona niezaprzeczonego talentu.

Z pieczą nad młodzieżą łączył nieboszczyk gorącą zawsze troskę o losy naszego narodu, któremu też osobliwie w młodszych latach poświęcał siły swoje cenne, jakkolwiek absorbowane obowiązkami urzędowemi. Śp. prof był jednym z założycieli „Towarzystwa Przemysłowców“, z którego tyle pięknych i dobrych wynikło instytucyi dla naszego społe-

czeństwa; był on też pilnym czytelnikiem „Pracy“ i jej szczerym przyjacielem, za to niech Mu Bóg da niebo.

Z śp. prof. Maryanem Jaroczyńskim schodzi do grobu jeden z najbardziej kochanych i szanowanych starszych współobywateli naszych, pozostawiając po sobie obok pięknych widomych śladów skrzętnej pracy, czyste imię szczerego patryoty — Polaka.

Składając na trumnie tego gorącego patryoty wieniec, wołamy:

Cześć Jego pamięci! Niech Mu będzie lekką polska ziemia, dla której wszystkiemi tętnami biło Jego gorące serce.

Pogrążonej w ciężkim smutku żonie i rodzinie zasyłamy wyrazy najserdeczniejszego współczucia.

Redakcya „Pracy.“

* * *

Ś. p. Feliks Gierłowski.

Dnia 4-go stycznia r. b. nieubłagana śmierć zajrzała i do naszego miasteczka Lubawy, w Prusach Zachodnich, i wybrała sobie jednego dnia cztery ofiary, a między niemi powszechnie szanowanego emeryta, *Feliksa Gierłowskiego*, byłego sekretarza sądowego. Śmierć jego bolesnym jest ciosem nietylko dla czcigodnej rodziny, ale i dla miasta samego. Staruszek ten przeszło 80-letni znany był wszystkim, szanowany i lubiany od wszystkich. Zawsze wesoły, uśmiechnięty witał każdego przechodnia, z każdym się rozmówił, każdemu coś dowcipnego powiedział. Całe życie spędził na usługach społeczeństwa. W żadnej sprawie nie brakło go nigdy, wszędzie i wszystkim chętnie udzielał światłej swej rady. Był członkiem wielu towarzystw, w mieście naszem istniejących, gdyż wszędzie jako prawego i szlachetnego człowieka mile go witano. Szczególną przyjemność sprawiała mu muzyka, to też niejednę godzinę sztuce tej poświęcał; nawet ostatni wieczór bardzo wesoło w kółku rodzinnem na muzyce spędził. Jako urzędnik sumiennie obowiązki swe wypełniał, a ludność polska na rękach nosiła ulubionego swego sekretarza, gdyż miał on dla niej serce otwarte i wylane i szczęśliwym był, jeżeli jej się w czemkolwiek mógł przysłużyć. Życie jego było oparte na zasadach prawdziwie chrześcijańskich, i niejednemu katolikowi za wzór mógł posłużyć. Nigdy on nie opuścił nabożeństwa, zawsze widziano staruszka w kościele przykładnie się modlącego i często do Sakramentów św. przystępującego. Niestety tej ostatniej pociechy w godzinie śmierci Pan Bóg mu nie użyczył, gdyż umarł niespodzianie nad ranem, i dopiero po kilku godzinach śmierć ego spostrzeżono. To też tem pobożniej zmówimy za duszę nieboszczyka „Wieczny odpoczynek“. Jak był lubianym, pokazało się i po śmierci jego. Niezliczone tłumy bez różnicy wyznania uczestniczyły w jego eksportacyi do kościoła parafialnego, a jeszcze liczniejsze dnia następnego w pogrzebie. Liczne duchowieństwo poprzedzało jego trumnę, a za nią obok rodziny, przyjaciół i bliższych znajomych postępowało prawie całe miasto, w którem nie ma nikogo, ktoby go nie lubił, nikogo, ktoby go nie szanował, co zaś znaczy nieprzyjaciel, tego w życiu swojem nie zaznał. Gorliwym był czytelnikiem „Pracy“, którą wszystkim swoim znajomym gorąco polecał. Spoczywaj w spokoju, czysta i szlachetna duszo, niech Pan Bóg sowicie Ci wynagrodzi wszystko dobre, któreś dla bliźnich swych czynił, a ziemia nasza niech Ci będzie lekką!

Dr. I. Ł.

Kronika.

Pierwszy dzień i pierwszy miesiąc nowego wieku dał nam się dobrze we znaki, bo styczeń wystąpił jako mroźny i groźny pan. Nikt z nas radośnie nie witał mrozów, chociaż za przymrozkami wszyscy tęskniliśmy.

Jedyni handlarze węgla ucieszyli się mrozom i panowie kuśnierze; pierwsi dlatego, że znajdą powód do podwyższenia cen na węgle, drudzy, że towar ich pożądanym będzie.

Przy tej sposobności zwrócę uwagę na jedno. Oto podpadło mi, że w całym Poznaniu nie ma większego polskiego składu futer. Wszystkie są one w ręku niemieckiem i żydowskiem.

Sądzę, że gdyby znalazł się fachowy kuśnierz z odpowiednim kapitałem znalazłby dosyć poparcia, przecież bez futer Polacy nie chodzą.

Inne jeszcze myśli nasuwa mi mroźny styczeń. Stawy i wody pokryły się gładką jak lustro powłoką lodową. Bujają po niej wesoło młodzi i starsi, a nawet panowie ze szronem nie styczniowym, lecz rzeczywistym na włosach dziarsko biegają po gładkiej przestrzeni. Niestety bardzo mało polskiej młodzieży płci obojga hołduje temu zdrowemu sportowi. Przeważają Niemcy i żydzi.

Wśród młodzieży do lat 16, uprawiającej łyżwiarstwo jest polskiego żywiołu więcej, ale po nad lat 16 już mniej Polaków wśród łyżwiarzy znajdziesz.

Dlaczego? Czyżby istotnie prawdą było, że młodzież nasza udaje zblazowaną i już nie znajduje przyjemności w sporcie bardzo zdrowym i przyjemnym.

Zadziwiającem jest, że my, którzy dawniej kochaliśmy się w ćwiczeniach cielesnych, zgnuśnieliśmy tak, że nikt ani pomyśli o założeniu klubu wioślarskiego, szermierskiego lub łyżwiarskiego.

Prawda, że wioślarstwo naraża na koszta, bo łodzie są dosyć drogie, ale szermierstwo takiego nakładu nie wymaga, ponieważ rynsztunek szermierski kosztuje kilkadziesiąt tylko marek, a już chyba nikt nie powie, aby wydatek na łyżwy był zbyt wysokim.

Więc czy istotnie zgnuśnieliśmy? Być może! Lecz jest jeszcze inna przyczyna.

Oto tego rodzaju sporty kwitnąć mogą tam, gdzie ludzie mają w czasie dnia kilka godzin wolnego czasu.

Tak urządzony dzień mają urzędnicy czy to rządowi, czy prywatni. U nas rządowych urzędników na palcach wyliczyćby można, a urzędników prywatnych jest także nie zbyt wielu.

Inne zaś zawody mają dzień całkowicie zajęty i tylko wieczór służy rozrywce i wypoczynkowi. Ztąd klub wioślarski i łyżwiarski, jakkolwiek pożądany, nie małe spotkałby trudności, ale ćwiczenie ciała można odbywać przy świetle. A jednak kto był na lekcyi gimnastyki u Sokołów ze zdumieniem patrzy na drobny zastęp ćwiczących druhów, a towarzystwo liczy przeszło 300 członków. A więc jednak jesteśmy gnuśni!

Mówiąc o Sokołach, o jednem jeszcze wspomnę. Z przykrością zauważyłem, że w balu Sokołów tak mały udział wzięła inteligencya. A nawet druhowie z zarządu Związku świecili nieobecnością. Sądzę, że na przyszłym balu więcej ujrzę inteligencyi i druhów z zarządu Związku.

Acer.

Z teatru.

(„Sobótki“, sztuka w 4-ch aktach Hermana Sudermanna.)

Jeżeli Sudermann, lub Hauptmann napisze dramat — usłużni dziennikarze starają się o reklamę dla tych utworów.

Wystawienie zaś dramatu jednego z wyżej wymienionych koryfeuszów jest w Berlinie wypadkiem dnia. I słusznie, bo nawet mniej udany dramat czy to Sudermanna, czy to Hauptmanna, znacznie jest jeszcze lepszym niż roboty tuzinkowych autorów.

„Sobótki“, dramat 4-aktowy Sudermanna, nie jest pewno najlepszym utworem Sudermanna, a jednak posiada tyle siły, tyle życia i prawdy, że zajmuje i przejmuje. Autor chciał wyrazić czar nocy świętojańskiej, urok Sobótek. Czerwcowa parna noc, kwiaty wonieją, słowik łka i kwili, magiczne blaski księżyca igrają po srebrze wód, po cieniach gajów, wywołując przed oko nasze złudne widziadła. Przyroda rozwija się bujnie w całej sile i krasie, wszystko w około nas dyszy życiem, pragnieniem, drży rozkoszą — po gajach i łanach miesiąca promieniem oblanych dźwięczy w całej wielkiej potędze pieśń szczęścia, hymn życia, hejnał miłości. — Któż oprze się tym czarownym wpływom? Dziewczyna pada w objęcia młodziana!

„Sobótki!...“ „Sobótki!...“ Raz tylko w życiu przeżywa się takie chwile! —

Oto idea dramatu. Treść i akcya tak się przedstawiają:

Vogelreuther (p Jakubowski) szorstki obywatel wschodnio-pruski, przytulił wraz z żoną do domu swego dziecko włóczęgi, Maryjkę, zwaną gosposią, (pani Wysocka). Maryjka uważana jest na równi z córką Vogelreutherów, Trudą (panna Łącka). Ten sam Vogelreuther przygarnął do siebie swego siostrzeńca Jerzego von Hartwiga (p. Knapczyński), którego ojciec popadłszy w długi popełnił samobójstwo. Vogelreuther zapłacił długi i własnym kosztem wychowuje Jerzego. Maryjkę i Jerzego łączy wspólne położenie, oboje odebrali dobrodziejstwa od Vogelreuthera. Młodzi kochają się, lecz Maryjka wie, że jest córką włóczęgi — więc nie przypuszcza, aby Jerzy von Hartwig chciał ją mieć za żonę, a kochanką jego być nie chce. Jerzy stłumia uczucie dla Maryjki, a zdobywszy

stanowisko zaręcza się z Trudą. Maryjka wtedy dopiero przychodzi do świadomości położenia. Wie, że skoro Jerzy ożeni się z Trudą, na zawsze dla niej stracony. Teraz chciałaby do niego należeć, choćby nawet jako kochanka. Jeszcze jednak się broni — a chcąc stawić zaporę pomiędzy sobą a Jerzym, zaręcza się z pastorem Haffke (p. Wysocki). Może byłaby wyszła zwycięzko z zapasów, lecz nadchodzi noc świętojańska — *sobótki*. Wszyscy podnieceni uroczystością i ponczem. Maryjka ma nocą jechać do Królewca, aby dla młodej pary urządzić mieszkanie. Jerzy ją ma odprowadzić na kolej. Lecz do pociągu jeszcze przeszło godzina. Zostawiają młodych samych i wtedy — czar sobótki — noc świętojańska, potęga jej żywiołowa oddaje Maryjkę Jerzemu. — Oto pierwsze trzy akty. W czwartym dowiaduje się pastor, że Maryjka się z nim nie zaręczy. Maryjka i Jerzy chcą wszystko wyznać Vogelreutherowi, lecz w tej chwili słyszy Maryjka krzyk matki włóczęgi, aresztowanej za kradzież. To przypomina jej przepaść rozdzielającą ją od Jerzego. Jerzy idzie do ołtarza z Trudą.

Nie wszystkie charaktery dramatu rysowane równo i wyraźnie — niepewnym w rysunku jest charakter Jerzego, za to wybornym typem wschodnio-pruskiego ziemianina Niemca jest Vogelreuther.

Artyści nasi zadowalająco wywiązali się z powierzonych im zadań. Podnoszę tu szczególnie piękną grę pani *Wysockiej*. Dobrym był p. *Jakubowski*. Haffke p. *Wysockiego* był zbyt liryczny.

Teatr był w sobotę i niedzielę dobrze obsadzonym. Publiczność darzyła grę artystów hucznemi oklaskami. Pani Wysockiej doręczono bukiet. Wystawa była staranną. *Widz.*

Jeszcze można zapisać
„PRACĘ“
na bieżący kwartał,

gdyż w obrębie państwa niemieckiego jest poczta zobowiązaną dostarczyć zaległe numery. ***Każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko I markę 25 fenygów.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Jeszcze można zapisać
„Czytelnię Polską“
na bieżący kwartał

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Baczność! Początek powieści p. t. „Krwawe ofiary“ otrzymają tylko ci nowi abonenci, którzy nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy pocztowy i na porto znaczek listowy, dwudziestofenygowy.

Tylko pod tym warunkiem wysyłać będziemy nowym abonentom początek powieści.

Baczność! Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ zamieszczone są przed inseratami.

Wiadomości.

Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcypasterz Fioryan obchodził dnia 17-go bm. dziewiątą rocznicę swej konsekracyi. Naszemu Dostojnikowi kościelnemu przesyłamy najserdeczniejsze życzenia: „Ad multos annos!“

W księgarni, składzie materyałów piśmiennych i przedmiotów dewocyjnych p. J. W. Nowaka w Pr. Starogardzie założyliśmy agenturę „Pracy“ i „Czytelniej Polskiej“ na Starogard i okolicę. W księgarni p. Nowaka mogą nasi abonenci zapisywać sobie od każdego czasu „Pracę“ i „Czytelnię Polską.“ Tamże można otrzymać bezpłatnie okazowe numera „Pracy.“

Na elementarze. Szkic literacki pt. „Jan Kasprowicz“ przez Różę Erzepkową — nakładem i czcionkami drukarni „Pracy“ — jest do nabycia po 25 fen. za egzemplarz w Księgarni Polskiej Tempłowicza w Poznaniu, w hotelu Francuzkim.

Dochód przeznaczony na elementarze.

Osiadł w Poznaniu dr. Tadeusz Dembiński, specyalista w chorobach krtani, gardła i nosa. Mieszka przy ulicy Rycerskiej 9. I.; ordynuje w mieszkaniu ś. p. dra Koehlera przy ulicy Rycerskiej 3. I.

Na karnawał poleca w wielkim wyborze artykuły balowe olbrzymi Dom towarowy K. Ignatowicza w Poznaniu, ul. Wrocławska 4. (patrz ogłoszenie).

Znana zaszczytnie fabryka likierów A. Szmytkowskiego w Pniewach (Pinne Pr. Posen) poleca wyborne wódki deserowe, mianowicie znakomitą Jubileuszówkę — po cenach nizkich, oraz daje darmo recepty do fabrykacyi sztucznych win.

Zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie p. Antoniego Walczaka ze Żnina, dotyczące interesu budowlanego.

Lecznica od Nowego Roku otwarta w Poznaniu przy Starym Rynku 74, I. obok Banku Przemysłowców dla mniej zamożnych chorych. Godziny konsultacyi podane są w odnośnem ogłoszeniu, na które zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu: pp. W. Cieszkowski, emigrant z Paryża 4.50 mrk., Nowak z Dortmundu 1 mrk., F. z K. 30 fen., Kowalski z Poznania 3 mrk., H. Rudzka z Przeworska (Galicya) 2,55 mrk. (3 korony), Anielka, Zygmunt, Fela, Iza i Witold Szyperski z Wałynia, Pr. Zach. 5 mrk., Górnicka z Ostroroga 3 mrk., A. Lewandowski z Białoborku 1 mrk., J. J. z M. 3 mrk., M. B. z córką z Kórnika 4 mrk.: z Jarogniewic: Martyna Paczyńska 6 mrk., W. Bryl 1 mrk., A. Kaliszan 80 fen.; Z. Kąsa 20 fen., W. Kolasińska 25 fen., M. Sawicka z Krotoszyna pod Barcinem 2 mrk.

Razem złożono dotąd na cel powyższy 343 mrk. 60 fen. Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu: Koło śpiewackie w Raszkowie 3,50 mrk., Polacy z Ilmenau na ręce p. St. Tabulskiego 8 mrk., pp. Nowak z Dortmundu 50 fen., Józef Reszka z Łandsbergu nad W. 3 mrk.; T. L. z Brandenburgii 1 m., A. Lewandowski z Białoborku 1 mrk., H. Rudzka z Przeworska (Galicya) 85 f. (1 kor.) grono polskiej młodzieży z Chełmna 2 mrk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 368 m. 39 f. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopoc“ 124 m. 52 fen.; pozostały zatem u nas 243 m. 87 fen.

Wykłady naukowe dla urzędników gospodarczych odbędą się w tym roku w dniach **29, 30 i 31 stycznia**, tj. we wtorek, środę i czwartek na wielkiej sali w Bazarze (starej), wejście od Nowej ulicy.

Za nadesłaniem 3 mk. wpisowego na ręce sekretarza Zarządu WP. K. Koszutskiego w Poznaniu, Półwiejska ul. 5 I. przesyła się odwrotną pocztą kartę wstępu z dokładnym planem wykładów. Pożądane są najwcześniejsze zgłoszenia, aby nie wykupywać kart dopiero w dzień wykładów.

Plan wykładów w r. 1901-ym: We wtorek 29-go stycznia od godz. $11^1/_2$—1 Tucz bydła rogatego. Po poł. od godz. 3—$4^1/_2$ Tucz bydła rogatego, od $4^1/_2$—6 Organizacya i kierownictwo gospodarstwa, jako osobna gałąź w nauce rolnictwa.

W środę 30 go stycznia od godz. $8^1/_2$—10 O melioracyi łąk, od godz. 10—$11^1/_2$ Znaczenie bakteryi w oborniku, od godz. $11^1/_2$—1 O przechowywaniu obornika. Po poł. od godz. 3—$4^1/_2$ O stucznych nawozach i poletkach doświadczalnych, od godz. $4^1/_2$—6 O korzyściach z zabezpieczenia na życie, od godz. 8—10, Pogadanka: O obchodzeniu się z ludźmi.

W czwartek 31-go stycznia od godziny $8^1/_2$—10 Rozmaite sposoby zakiszania paszy i o paszy prasowanej, od godz. 10—$11^1/_2$ Jak obchodzić się z krowami, aby mieć z nich czysty dochód? Od godz. $11^1/_2$—1 O zakaźnych chorobach inwentarza i o środkach leczniczych. Po poł. od godz. 3—$4^1/_2$ O sztucznych nawozach i poletkach doświadczalnych.

Poznań, w styczniu 1901 r.

Zarząd Centr. Tow. Gospod. w W. Ks. Poznańskiem.

Gostyń. Dnia 30 z. m. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku naszą współobywatelkę, śp. Teklę z Jarczewskich Bieżkiewiczową. Jak potrafiono ocenić cichę cnoty zmarłej, świadczyły owe zastępy mieszkań-

ców nie tylko z miasta naszego, lecz i z okolicy, które ostatnią przysługę zmarłej oddały. Niech spoczywa w spokoju! T. F.

Ostrzeszów. Miasto nasze potrzebuje dobrego ślusarza, który jest zarazem maszynistą, gdyż są tutaj dwa tartaki i trzy cegielnie, a gospodarze muszą dla reparacyi maszyny do innych miast wozić; a co do ślusarki, to nie można się doczekać obstalunków. Także potrzebny stolarz.

Katowice. Swieżo złożono w mieście naszem Towarzystwo kupców polskich. Pierwsze posiedzenie odbyło się w Nowy Rok; odtąd będą się odbywać posiedzenia co 3 tygodnie. Zgłoszenia przyjmuje prezes, p. St. Cichocki, Johannisstr. 12/14. „Szczęść Boże!“ — Przyp. Redakcyi.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Koło śpiewackie w *Śremie* z współudziałem Tow. gimn. „Sokół“ tamże urządza w niedzielę dnia 20 stycznia r. b na sali hotelu „Victoria“ teatr amatorski na cel dobroczynny. Graną będzie: **„Gwiazda Syberyi“**. Początek o godz $7^1/_2$ wieczorem.

Tuszymy sobie, iż zwłaszcza inteligencya z miasta, a przedewszystkiem z okolicy nie będzie, jak zwykle, świeciła pustkami, lecz ze względu na sztukę samą, jako i na wzniosły cel, stawi się na przedstawienie w komplecie i poprze tem samem szczere chęci nasze służenia dobrej sprawie. Czołem!

Zarządy Koła śpiewackiego i „Sokoła.“

Roździeń, Górny Śląsk. Nadzwyczajne, walne zebranie odbędzie Tow. gimn. „Sokół“ w niedzielę dnia 20 stycznia b. r. na sali pani Reich w Roździeniu. Początek o godz. 1-ej po południu. Pożądaną rzeczą jest, by się druhowie jak najliczniej zebrali, gdyż chodzi o ważne sprawy, mianowicie o wybór nowego zarządu. Czołem!

Wydział.

Od Redakcyi.

S. S. Nekla. - Dziękujemy serdecznie, ale wiersze te były już zamieszczone w poprzednich rocznikach „Pracy.“

Panu Fr. K. w Kobylinie. Wiersz jest powszechnie znany, więc go nie możemy zamieścić.

Jednemu z życzliwych w Szamotułach. — Owszem i tego kupca polecimy, jeżeli nam nadeśle ogłoszenie. Zresztą list jest bez podpisu, a takie listy wędrują zawsze do kosza.

S. A. Nr. 123. — Nie ma prawa.

Panu A. K. w Grembowie pod Ostrowem. — Udaj się Pan do biura, pośredniczącego w wyszukaniu miejsc, lub co najlepsza, ogłoś się Pan w „Pracy.“

Panów Henkego we Wrześni, Sulikowskiego w Pobiedziskach, J. Niklewskiego w Barłożnie (Pr. Zach.), Mieczysława Sorówkę w Jaworowie (Galicya), J. Frydrychowskiego w Dahlhausen n. Rurą prosimy o nadesłanie kwitów pocztowych i 20 fen., a przyślemy początek powieści pt. „Krwawe ofiary“ za zwrotem kosztów pocztowych.

Panu Andrzejowi Nowakowi w Przytoczni. — Opis Ostrzeszowa już był zamieszczony w „Pracy“ w roku 1899. — Dyament do rznięcia szkła nabyć Pan możesz u firmy polskiej: „Nowicki i Grünastel w Poznaniu, plac Wilhelmowski.“

Panu I. W. z W. — W sprawie p. B. z Prus Zachodnich nie możemy służyć Panu żadnemi informacyami, mimo najszczerszej chęci.

Panu Józefowi N. w Miasteczku. (G. S.) — Pierwszego zeszytu tych pamiętników nikt Panu nie odstąpi, bo nikt nie będzie chciał psuć sobie książki kompletnej.

Panu A. Z. w Białej (Galicya.) O ile nasze informacye sięgają, gazety takie fachowe specyalne nie wychodzą w języku polskim.

Panu Stanisławowi Żurowi w Wyrowie. (Górny Śląsk). Pan mecenas Czypicki w Koźminie (prowincya Poznańska) udzieli Panu najdokładniejszych informacyi w tej sprawie.

Panu Ignacemu Fiałkowskiemu w Bruchu. Mogilno w W. Ks. Poznańskiem. Adres ten wskazał nam p. Józef Stark (J. Stark jun.) tamże zamieszkały; udaj się Pan do niego po bliższe informacye.

Panu Michałowi Kan... w Rybniku (G. Ś.) To samo,

Panu W. D. w Gostyniu. Takie notatki nie nadają się do działu redakcyjnego, więc nie zamieściliśmy.

Panu Janowi Ł. w Śmiglu. Jest tylko taka szkoła niemiecka pod nazwą „Frauenschutz.“

Panu W. Gars. w M. odpowiadamy na tej drodze, że Bank Parcelacyjny w Poznaniu na Piekarach nr. 18 jest jedną z najruchliwszych instytucyi naszych, ma przeszło 200,000 marek rezerw i zasługuje na zaufanie najzupełniej, bo odpowiedzialność tego banku wynosi przeszło milion marek.

Humorystyka.



Humor szubienicznika.

Włóczęga: „Cały świat ma mnie chętnie! Teraz wzięli mnie do aresztu, aby tylko módz mnie ugościć!“

Takie dobre dziecko!

A. Jakto? pani syna wzięli do domu poprawy — za cóż to?

B. Za nic, pani kochana! ot złość ludzka i tyle — to dziecko poczciwe z kościami: co ukradł, to zaraz mnie przyniósł.

* * *

Wyrwas.

„Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!“
Chodził po wsi „miemiec“ w pludrach —
Z „porcelanką“, w czapce z deńkiem!
Za dziewuchą! za ożenkiem!
Bo takiemu wszyćko mało —
Naszych kwiatków się zachciało!

„Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!“
Wlazł do Hanki „miemiec“ w pludrach —
Siedzi, siedzi, podryguje
I cudeńka obiecuje!
Obiecuje „furt“ dziewczynie
Kawę, jadło na słoninie —
I atłasy, i sajety,
I puchowe różne „bety...“
A co rzeknie, co podrygnie
To talarkiem w kiesce mignie!
To zadzwoni „śrebłem“ w pludrach...
...Rachciach ciachciach! ciach! rachudrach!

„Rachciach! ciachciach! od Warszawy!“
Jak się porwie Hanuś z ławy!
Jak nie lunie „ejnzwajdraja“,
Aż mu w zębach prysła faja!
Aż mu spadła czapka z deńkiem!
„Poszedł, szwabie! z swym ożenkiem!
„Wolę doma raz dzień jadło
„Niźli twoje sperki, sadło!
„Wolę doma żur jałowy,
„Niźli twoje „śrebło“ w pludrach!“
Rachciach! ciachciach! ciach! rachudrach!

„Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!“
Smiga ze wsi „miemiec“ w pludrach —
Gna przełajem bez zagony —
Przez fajczyska i *przez* żony!
Gna przełajem, aż psy wyją,
Aż mu pięty w spencer biją!
A tu za nim echem leci:
„Masz, co chciałeś! a dobrze ci!
„A „wróć-że się!“ Pozwól „jesce!“
Rachciach ciachciach! ciach po desce!
„A „wróć-że się“ w całych pludrach!“
Rachciach ciachciach! ciach! rachudrach!

El.

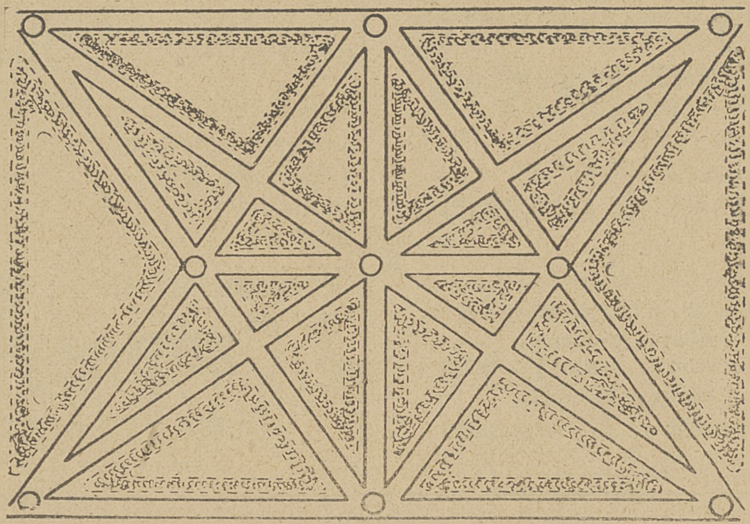


Grzeczny poskromiciel lwów.

Dama (w menażeryi przed klatką z lwem): Dlaczego zachowuje się ten lew tak wściekle od chwili, gdy stoję przed klatką.

Poskromiciel lwów. Ponieważ pani wyglądasz bardzo apetycznie.

Rozwiązanie zagadki premiowej illustrowanej z nr. 52-go gwiazdkowego.



Rozwiązanie dobre nadesłano nam z blizka i zdaleka w takiej obfitości, że nie możemy dla braku miejsca ogłosić wszystkich osób.

Premię przez wylosowanie otrzymał p. Bronisław Schultis z Jasienicy pod Krosnem w Galicyi.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

(Ogólne niemieckie Towarzystwo zabezpieczenia w Sztutgardzie.) W miesiącu listopadzie 1900 uregulowano 1280 wypadków odszkodowania. Z tej liczby przypadło na zabezpieczenie obowiązkowe z odpowiedzialnością 666 wypadków i to 358 z powodu uszkodzenia cielesnego i 308 z powodu uszkodzenia rzeczy; na zabezpieczenie w razie okaleczenia 555 wypadków, z tych 5 spowodowały 2 częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na kapitał w razie śmierci umarło w miesiącu wzmiankowanym 59. W miesiącu listopadzie

Prosimy odciąć.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem tylko 1,25 mk. oddać na poczcie.

Unterzeichneter bestellt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das bzg. Vierteljahr die in Posen ercheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.........., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.

für 60 Pfennige.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.........., *den* ....

Kaiserl. Post ....

zawarto nowych zabezpieczeń 6788. Ze szkód zameldowanych z powodu okaleczen a (włącznie wypadków śmierci i inwalidztwa) przed 1-ym września 1900 jest tylko jeszcze 186 wypadków do załatwiania.